



CHAPLIN W CYRKU

„...śmiał się i wzruszał jak każdy inny widz. Być może, reakcje jego były nawet bardziej młodzieńcze, bardziej żywiołowe niż innych. Sprawiał wrażenie dziecka, które przyszło obejrzeć niezwykle przedstawienie...”
(Patrz fotoreportaż własny „Świata” ze Szwajcarii na stronie 16 i 17).

Zdjęcie: Franco Pinna

A WIEC to już trzydzieści lat. Mija już trzydzieści lat od owych wieczorów, które znajdowały niejednego z nas na paradyzie, na wysokim balkonie sali teatralnej w gmachu położonym w Warszawie między ulicami Długa i Daniłowiczowska. Młodość nasza, ludzie średniego pokolenia dzisiejszego, wiodła nas na spotkanie z najwspanialszym teatrem ostatnich dziesiątków lat w Polsce. To Teatr imienia Bogusławskiego dawał jedyne, niepowtarzalne przedstawienia „Nieboskiej komedii” Krasieńskiego, „Achilleis” Wyspiańskiego, „Różę” Żeromskiego, „Kniazia Patiomkina” Micińskiego.

Jako najwyższą pochwałę mają dziś krytycy przymiotnik „realistyczny”. Ten przymiotnik brzmi czasami za ubogo, za sucho, za urzędowo. Teatr imienia Bogusławskiego był teatrem rewolucyjnym, bo był teatrem wielkiego artystycznego przeżycia. Wówczas to, w owe ciemne dni panoszenia się reakcji polskiej, imię Leona Schillera — twórcy teatru imienia Bogusławskiego — stało się sławne i wiele znaczące. Był to teatr rewolucyjny, bo realistyczny — realistyczny, bo rewolucyjny.

Dziś, gdy nad życiem Leona Schillera zapadła kurtyna śmierci, spróbujmy powiedzieć, na czym polegała wielkość jego teatru, którego scena im. Bogusławskiego była najwyższym osiągnięciem. Rzecz polegała na tym, że Leon Schiller, jako prawdziwy twórca, jako człowiek teatru, jako bojownik socjalizmu, ujmował dzieło literackie w swoisty sposób. „Książę Patiomkin” w realizacji pisarskiej Tadeusza Micińskiego to mistyczne misterium, mające za pretekst zaledwie sławny bunt rosyjskich marynarzy. Sztuka Leona Schillera polegała na tym, iż realizując tekst Micińskiego, w niczym nie uchybiając autorowi, potrafił nawrócić do tematu, podnieść rangę rewolucyjnego wydarzenia. Dla niejednego z nas schillerowski „Książę Patiomkin” był pierwszą lekcją o rewolucji 1905 roku, był pierwszym posiewem nie tylko uczuć buntowniczych, ale i myśli prowadzących bardzo daleko — od tamtych lat triumfu polskiej burżuazji, lat ciemnej i biednej Polski — do dnia dzisiejszego — Polski budującej socjalizm.

Podobnie z „Różą”, podobnie z „Nieboską”. Podobnie z innymi wielkimi dziełami polskiej dramaturgii, jak „Dziady”, jak „Kordian”, które Schiller śmiało wprowadzał na scenę. Ukochał bowiem nade wszystko teatr polskiego romantyzmu, umiając go bez sztucznych i niedopuszczalnych adaptacji przybliżyć do współczesnego widza i nasycić nowocześnie treścią polityczną, dowiedzieć, ile w tym romantyzmie było rewolucyjności, do dziś żywej i gorącej. Jak to robił? — to pozostało tajemnicą jego talentu, jego geniuszu teatralnego, takiego, jakich teatr polski od czasów Wojciecha Bogusławskiego niewiele liczył.

C IEŻKIE spadają na nas cięsy. Katastrofa w kopalni „Barbara-Wyzwolenie” okryła nas wszystkich smutkiem i żalobą. Tych kilkudziesięciu ludzi poniosło w płomieniach śmierć męczeńską dla nas, dla całego narodu. Dla narodu, dla każdego z

nas przeznaczony jest codzienny trud górnika. Węgiel to frontowa sprawa naszego rozwoju gospodarczego. W ten zatem odcinek uderza wróg. Płomienie w kopalni „Barbara - Wyzwolenie” jeszcze jaśniej oświetlają naszą drogę, której nie można przebyć bez stałej czujności, z zamkniętymi oczami.

Oczy nasze muszą być czujne, stale otwarte, muszą dobrze patrzeć i dobrze widzieć.

Z JAZD Partii był wielką demonstracją życia narodu, głębi i siły tego życia takiej, jakiej dzieje nie znają. Zagadnienie śmierci ludzkiej, bohaterskiej śmierci kilkudziesięciu górników, czy śmierci wielkiego artysty, jakkolwiek pogrąża nas w żalu, nie jest oderwane od innych spraw dziejących się wokół nas.

Czytałem właśnie pamiętnik bojowniczy „Proletariatu” — Marii Bohuszewiczówny, ogłoszony w „Twórczości”. Było to przed przeszło siedemdziesięciu laty. Młoda Maria zwiedzała z ojcem piękny ogród, który własnymi rękami zasadził daleki jej krewny — Tadeusz Kościuszko. Wśród pięknie rozrostłych krzewów trudno było nie rozmyślać nad tym, dlaczego dzieło polityczne Naczelnika nie rozrosło tak pięknie, dlaczego zwycięstwo nie było jego udziałem.

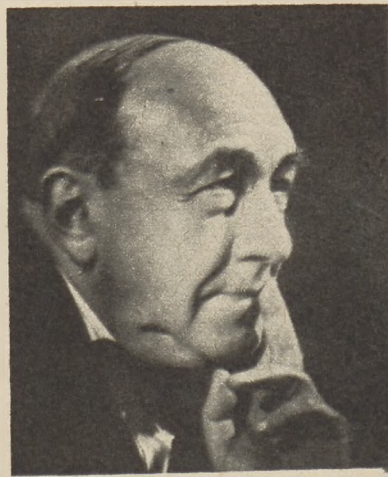
„Ojciec zaczął mi tłumaczyć — pisze Bohuszewiczówna — że jeden człowiek nie jest w stanie... Wysłuchawszy, zadałam nowe pytanie: „Więc kto, kiedy?” Odpowiedź brzmiała: „Każdy człowiek powinien się do tego przyłożyć”.

MARIA, gdy dorosła, zrealizowała nakaz ojca: przyłożyła się do przyszłego zwycięstwa, do sprawy przyszłego narodowego i społecznego wyzwolenia. Przemiana ustrojowa nie wpłynęła na to, by śmierć w pożarze kopalni była mniej straszliwa i bolesna, by śmierć wielkiego artysty nie była pełna smutku. Ale śmierć jest zarówno sprawą tych, co umierają, jak i tych, co pozostają żywi. Kilkudziesięciu naszych towarzyszy, bohaterskich górników z kopalni „Barbara-Wyzwolenie”, przestało żyć. Przestał żyć Leon Schiller. Zostaje praca nasza — na ziemi i pod ziemią, praca mięśni i umysłów — bez nich. Ale z czym zostajemy: czy tylko z żalem, smutkiem, rozpaczą? Nie! I z tym, co smutek, żal i rozpacz pozwala przezwyciężyć: pozostajemy z naszą wielką, nieśmiertelną, niezniszczalną sprawą, której żaden ogień nie strawi.

I w tym nowe oblicze śmierci dzisiejszej. Maria Bohuszewiczówna umierała, nie dokonawszy dzieła, w carskim więzieniu, z nadzieją przyszłości, z wiarą w przyszłość. Niejeden mówił pewno, że umarła na darmo, z garstką szaleńców porwawszy się na potęgę caratu. Gdy dziś kto umiera — nie nie umniejsza po nim żalu i smutku. Ale wiele pozwala iść naprzód, wzmacniać siły, by po górnikach poległych, po których pozostał żal, nie pozostała ani jedna luka na froncie węgla, by ognia i żaru nie zabrakło na paleniskach. By po śmierci Leona Schillera nie zabrakło ognia w polskiej sztuce.

Śmierć pozostała śmiercią. Życie stało się inne. Staje się coraz bardziej inne.

JAN SZELĄG



25 marca 1954 roku zmarł w Warszawie Leon Schiller, wielki artysta, reżyser i reformator teatru, pedagog i działacz społeczny. W okresie międzywojennym jego inscenizacje sztuk o charakterze postępowym i rewolucyjnym były wielkimi wydarzeniami teatralnymi i odegrały niepoślednią rolę w walce prowadzonej w Polsce przez lewicę społeczną. Podczas okupacji — więziony w Oświęcimiu. Leona Schillera wybrano posłem na Sejm i delegatem na I i II Zjazd PZPR. Był przewodniczącym ZG Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. Był laureatem nagród państwowych I i II stopnia. Odznaczony „Sztandarem Pracy”.

AMBASADOR INDONEZJI W ZSRR



Keystone

ZSRR i Indonezja podniosły przedstawicielstwa dyplomatyczne do rangi ambasad. Dotychczasowy ambasador Indonezji w Londynie dr Subandrio został pierwszym ambasadorem swego kraju w Moskwie. Widzimy go wraz z żoną opuszczającego Londyn w drodze do ZSRR. Żegnają go współpracownicy londyńskiej placówki.

NIE MA POKOJU NA BLISKIM WSCHODZIE



Keystone

Autobus izraelski został na „Przełęczy Skorpionów” ostrzelany przez Arabów z lekkich karabinów maszynowych. Zginęło 11 mężczyzn, kobiet i dzieci — tylko 4 osoby zdołały uciec z życiem. Chcąc utrzymać Bliski Wschód w stanie stałego wrzenia, Amerykanie dostarczają broń zarówno państwu arabskiemu, jak i Izraelowi.

POLSKA WYSTAWA W SZTOKHOLMIE



Sailstedts Bildbyrå

Na wystawę polskiej grafiki i ilustracji w Sztokholmie przybyli (od prawej): ambasador ZSRR — Rodionow, ambasador Francji — Armand du Chayla, charge d'affaires PRL — Chanachowicz oraz przew. Towarzystwa Szwedzko - Polskiego — Claesen

WSPÓLPRACA KULTURALNA Z CHINAMI



„Hsinghua”

W Pekinie podpisany został plan współpracy kulturalnej pomiędzy Polską i Chinami. Ze strony chińskiej akt ten podpisał przedstawiciel Centralnego Rządu Ludowego — Fan Chang-chiang, ze strony polskiej — wiceminister Oświaty — Pokora



Fot. W. Stawny

W DRUGĄ ROCZNICĘ DARU PRZYJAŹNI

5 kwietnia mija druga rocznica podpisania między Rządami Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej układu o budowie w Warszawie Pałacu Kultury i Nauki. Dwa lata temu spisano akt, a dziś już wspaniały dar narodów radzieckich sięga wysokości 227 metrów, górując swoją piękną sylwetką nad nową panoramą socjalistycznej Warszawy

RÓWNI I WOLNI

Na ziemi chińskiej żyje przeszło 60 różnych narodów i 40 mniejszych grup narodowościowych, rozsiadanych po całym kraju, mówiących 160 językami i wyznających kilkanaście religii (buddyzm, mahometanizm, lamaizm, taoizm, fetysyzm itd.).

Przez setki lat wszystkie te mniejszości narodowościowe żyły pod terrorem władców głównego narodu chińskiego — Han (stąd nazwa „hanizm” na określenie chińskiego rasizmu). Ucisk miejscowych feudałów i straszliwy wyzysk zachodnich kolonizatorów — oto przyczyny zacofania gospodarczego kraju i upadku narodowych kultur.

Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna. Mongołowie, Ujgurowie, Tybetańczycy, ludy Miao, Thai, Ji, Jenpien, Lao, Lolo, Sani — 10 milionów mniejszości narodowych. 8 procent wszystkich mieszkańców kraju, dopiero po zwycięstwie rewolucji uzyskało równouprawnienie i pełne prawa obywatelskie. Skończyły się czasy wzajemnej nienawiści, przeminał „hanizm” — sztucznie przez burżuazję chińską hodowany rasizm, minęły lata narodowościowego ucisku, krwawych „pacyfikacji” i represji. Jednym z pierwszych aktów władzy ludowej było uznanie równouprawnienia wszystkich obywateli Chin. Wspaniale rozwijają się kultury narodowe uciskanych dawniej ludów. W ciągu ostatnich kilku lat odkryta została oryginalna literatura ludowa 18 mniejszych narodów. Rozwija się szkolnictwo w miejscowych językach — obecnie czynnych jest 12 tysięcy szkół z językiem wykładowym nie-chińskim.

Historię zaszczytów przemian doskonale ilustrują dwie pieśni ludowe, ułożone przez poetów Miao, najbardziej niegdyś uciskanego narodu w Chinach. Pierwsza z nich pochodząca z XIV wieku brzmi:

Góry Miao
spowite są mgłą
czarna jak noc.
Od wieków nie ukazuje się słońce nad górami Miao.
Ostatni młodzieńcy zgineli w walce,
nie ma już młodzieży w górach Miao.

Druga ułożona została po wyzwoleniu kraju przez Armię Ludową:

Jak kogut, gdy pije wodę,
lud Miao
podniósł głowę
pijąc wolność Nowych Chin.
Dziś, gdy przyszli żołnierze Armii Ludowej,
ludy Miao i Han są razem jak bracia
w jednym szeregu.

Skończyły się lata walki i nienawiści. Ludy Miao i Han i wszystkie pozostałe narody Chińskiej Republiki Ludowej, ramię przy ramieniu, jak bracia, walczą dziś i pracują dla wspólnego dobra. (J. S.)





NA MEKSYKAŃSKIM TARGOWISKU

„Za daleko od Boga, za blisko Stanów Zjednoczonych” — mówił o położeniu swego kraju prezydent Meksyku Porfirio Diaz. Mimo że od tego czasu minęło lat przeszło 40, powiedzenie Diaza nic nie straciło na swej aktualności.

94 procent inwestycji zagranicznych Meksyku — to inwestycje amerykańskie. W ciągu ostatnich 15 lat monopolisci nowojorscy zarobili na czysto na tych inwestycjach i wywieźli z Meksyku bagatelną sumę — 870 milionów dolarów. Ale Meksyk jest przecież kra-

jem gospodarczo zacofanym, któremu trzeba „pomagać”. Toteż ostatnio udał się do Meksyku mister Capehart, przewodniczący Komisji Finansowej senatu USA, aby przekonać sąsiadów, że tylko dalsze inwestowanie kapitałów amerykańskich może im pomóc. Naród meksykański jednak dość już ma amerykańskiej „pomocy”. Toteż mister Capehart wrócił do domu z niczym...

Meksyk posiada 28 milionów mieszkańców, z czego trzecią część stanowią bezrolni chłopci. Aby zarobić na najędźniejsze choćby utrzymanie, tysiące

..zbyt blisko STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Tekst i zdjęcia: MARIA G. STEN

meksykańskich chłopów przepływają rokrocznie nielegalnie graniczną rzekę Bravo, aby dostać się do Stanów Zjednoczonych. Ci „espaldas mojadas” (mokre plecy — jak ich popularnie nazywają), zatrudniani w czasie zbiorów w stanach Texas i Kalifornia, wyzyskiwani są w niesłychany sposób i traktowani przez swych amerykańskich mścicieli jak ludzie „niższego gatunku”. Wprawdzie rząd meksykański usiłuje przeszkodzić tej nielegalnej emigracji i domaga się zapewnienia odpowiednich warunków pracy i płacy dla swych obywateli, ale Stowarzysze-

nie Właścicieli Plantacji Bawełny w El Paso (USA) odrzuciło wszystkie żądania meksykańskie, a wiceprezydent USA Nixon osobiście przyrzekł, że „będzie szukał środków, aby zaradzić brakowi rąk roboczych na południu Kalifornii”. Innymi słowy — obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, aby kontrola graniczna nie była zbyt surowa i meksykańscy nędzarze nadal mogli być wyzyskiwani przez amerykańskich plantatorów.

Oto co się kryje za powiedzeniem prezydenta Porfirio Diaza w wydaniu 1954 roku.

GRAFIKA BRAZYLIJSKA

Sztuka narodowa wyrasta z ludu, z jego obyczajów i pracy. Taka jest właśnie grafika brazylijska. Graficy brazylijscy pracują z myślą o swym najważniejszym odbiorcy, którym są szerokie masy pracujące ich kraju. Stąd grafika ta posługuje się formą dostępną i zrozumiałą — reportażem, opowieścią, bajką — czasem kroniką, dokumentem, oskarżeniem.

Grafika brazylijska ukazuje lud przy pracy, walczy przeciwko rządowi wyzysku o sprawiedliwy porządek społeczny i pokój między narodami. Oto kilka prac z teki grafiki Reniny Katza.



Głód i zimno



Podział żywności



Wędrowka



Tak żyją brazylijskie dzieci



Straszliwa nędza i analfabetyzm — oto błogosławieństwo amerykańskiej „pomocy”, na której nowojorscy monopolisci zarobili w ciągu 15 lat 870 milionów dolarów

Aby nie umrzeć z głodu, tysiące meksykańskich chłopów udają się do pracy w Stanach Zjednoczonych. Oto „espalidas mojadas” po powrocie z amerykańskiego rajów



GŁOSY O POLSCE

Robert Havemann

Profesor dr Robert Havemann, urodzony 11 marca 1910 roku w Monachium, pochodzi z rodziny niemieckich naukowców. Po ukończeniu studiów wyższych w Monachium i Berlinie rozpoczyna pracę w Instytucie Chemii w stolicy Niemiec. Po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech, prof. Havemann jako bojowy antyfaszysta wydalony zostaje z Instytutu. Nie przerywa jednak pracy naukowej i w roku 1933 habilituje się w zakresie chemii fizycznej. W związku ze swoją działalnością antyhitlerowską zostaje w kilka tygodni później aresztowany i skazany na śmierć. Wyrok ten nie został jednak wykonany, gdyż hitlerowcy pragnęli wydobyć ze swej ofiary tajemnicę jego osiągnięć naukowych w zakresie fizyki jądrowej (atomowej). Wtrącony do obozu koncentracyjnego Brandenburger, Havemann zostaje w kwietniu 1945 r. wyzwolony przez Armię Radziecką, po czym obejmuje kierownictwo uniwersytetu w Berlinie zachodnim. Za swą działalność w obronie pokoju i odmowę współpracy z amerykańskimi imperialistami prof. Havemann pozbawiony zostaje w 1948 r. przez władze zachodnie wszystkich stanowisk. Wkrótce potem obejmuje katedrę chemii fizycznej i kierownictwo Instytutu Chemii Fizycznej Uniwersytetu Humbolta w Berlinie wschodnim. Prof. Havemann należy do najwybitniejszych badaczy fizyki atomowej w Europie. Od roku 1950 jest przewodniczącym Berlińskiej Rady Pokoju.



Poznałem nową Polskę, istniejącą od lat dziesięciu. To, czego w przeciągu tego krótkiego okresu czasu dokonał naród polski, jest bez precedensu w historii świata. Barbarzyńska wojna, prowadzona przez hitleryzm, zamieniła stolicę Polski i ogromne obszary ziemi polskiej w rumowiska. Miliony ludzi padły ofiarą systematycznie uprawianego mord — ale naród polski podźwignął z ruin wspaniałe pomniki swej prawdziwej kultury i ocalił od zniszczenia to, co zdawało się być bezpowrotnie stracone.

Do życia wszakże powołane zostały nie same jeno pamiątki przeszłości — nowi ludzie zbudowali nowe fabryki, nowe drogi, kopalnie, urządzenia portowe, nowe szkoły i wyższe uczelnie, nowe teatry. Ów nowy człowiek i nowa świadomość narodu polskiego — te dwa najbardziej decydujące czynniki — dokonały tego, co dziś nazywamy „polskim cudem”.

Drodzy polscy przyjaciele! Czy potraficie zrozumieć, co w głębi duszy musi odczuwać Niemiec, przybywający do Waszego kraju, by jako delegat niemiecki uczestniczyć w obchodzie „Tygodnia niemieckiej postępowej kultury”, który został zorganizowany na Waszej ziemi, w Polsce? Nie nadszedł jeszcze czas, byśmy mogli zapomnieć o straszliwych zbrodniach popełnionych przez barbarzyński hitleryzm wobec narodu polskiego, ale czyż może być groźniejsze ostrzeżenie dla narodu niemieckiego, aniżeli przeświadczenie — podzielane również i przez Was — z którego wynika, że faszyzm i barbarzyństwo hitlerowskie były nie tylko śmiertelnym wrogiem Polaków, lecz również śmiertelnym wrogiem narodu niemieckiego?

Na tej głębokiej prawdzie powstają podwaliny naszej przyjaźni — i dlatego właśnie ta przyjaźń pomiędzy narodem polskim i narodem niemieckim stanowi elementarną podstawę zachowania pokoju w Europie.

Faszyzm odradzający się w zachodnich Niemczech, faszyzm Adenauera, wszystkie swoje nadzieje buduje na tym, że uda mu się posłać pomiędzy naszymi narodami nową nienawiść i wykopać nową przepaść. Ale czasy się zmieniły i naród polski w decydującym stopniu przyczynił się do tej zmiany.

Dawna Polska była krajem zacofanym, pozbawionym przemysłu, była krajem rolniczym o zubożałej ludności, wyzyskiwanej zarówno przez własnych obszarników, jak i przez kapitał zagraniczny i uzależnionej od nich.

Nowa Polska natomiast zajmuje jedno z czołowych miejsc wśród uprzemysłowionych krajów europejskich. Rolnik polski jest wolnym obywatelem, uprawiającym własną ziemię.

Te oto osiągnięcia zdobyte własnymi rękami przez naród polski, przez jego klasę robotniczą, prowadzoną przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, posiadają taką wymowę, jakiej żadne słowa nie są w stanie wyrazić.

von seiner Arbeiterklasse und der vereinigten polnischen Arbeiterpartei, mit eigenen Mitteln geschaffen hat, haben sein „Bewegungsmoment“, als ersten allein verliessen werden kann.

Robert Havemann

Edgard Buxbaum

General Edgard Buxbaum, znany na terenie Brazylii działacz społeczny, należy do czołowych bojowników o pokój w Ameryce Łacińskiej. Jego niezłomna postawa spowodowała na niego liczne prześladowania ze strony reakcyjnego rządu, który

usunął go z armii czynnej. Żadne jednak przeciwności i saykany nie zdołały złamać postawy sędziwego działacza.

W roku 1950 general Edgard Buxbaum, nieustraszonego działacza i bojownika, wybrany został członkiem światowej Rady Pokoju.

Nie miałem jeszcze szczęścia odwiedzić sławnej Polski, ale ze wszystkich stron dociera do mnie tyle tak ważkich świadectw, mówiących o rozwoju technicznym i ekonomicznym narodu polskiego, że nie mogę oprzeć się pragnieniu, aby zabrać głos i wyrazić podziw dla ogromnego wysiłku wyzwolonego narodu oraz olbrzymich osiągnięć zdobytych w tak krótkim stosunkowo czasie.

Na podstawie tego, co stale słyszę i czytam, wiem, że naród polski robi olbrzymie postępy nie tylko w dziedzinie ekonomicznej, lecz również na wszystkich innych odcinkach pracy, nauki i kultury.

Warszawa, odbudowana według najlepszych tradycji architektonicznych i artystycznych, jest zarazem przykładem rozwiniętej techniki i dobrego smaku. Cała Polska zresztą — to jeden wielki plac budowy lepszego życia dla całego narodu. Aby rozwój ekonomiczny i kulturalny Polski mógł trwać w ciągu lat przyszłych, konieczny jest więc pokój, którego najbardziej pragnie naród polski.

Rozwinie się Wasz wielki przemysł, Wasz handel rozszerzy się na wszystkie kontynenty, osiągnięcia Waszej pracy, nauki i kultury — która miała zawsze w Polsce wybitnych przedstawicieli — będą nowym ogniwem pokojowego współżycia wszystkich ludzi i narodów. Oto — jak myślę — nowe drogi, którymi kroczy szlachetny i bohaterski naród polski. Życzę Mu pokojowej przyszłości i powodzenia w jego pracy.

Gen. Buxbaum

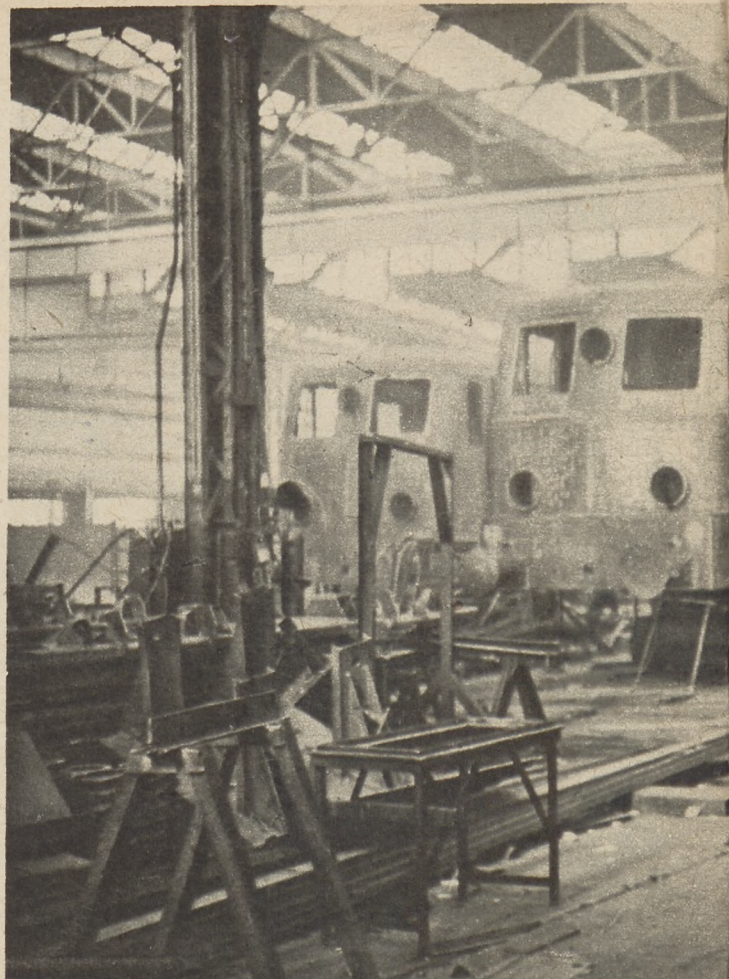


Instalowanie palaków na dachu wagonu. Będzie płynął przez nie prąd z przewodu wysokiego napięcia do silnika

POD NAPIĘCIEM 7.500 VOLT

WITOLD NOWIERSKI

Zdjęcia: Z. MAŁEK



Pierwszy etap prac został zakończony: „pudła” trójczłonu są już gotowe. Teraz kolej na prace montersko-



Racjonalizator Kwak (z prawej) z młodymi elektrotechnikami przy montowaniu silnika napędowego. Praca ta nie jest łatwa: silnik waży 4 000 kg i połączony jest siecią kilkuset przewodów z elektryczną instalacją elektrowozu

JESLI w ciepły kwietniowy dzień wsiadziecie np. na stacji Warszawa-Sródmiście do elektrycznego pociągu lśniącego białą-niebieskim lakierem i pachnącego świeżością — sprawdźcie, czy na bocznej zewnętrznej ścianie wagonu jest napis: 85/86W. Jeśli tak — to warto, abyście się dowiedzieli, że ów na pozór niewiele mówiący znak „85/86W” — to oficjalna nazwa pierwszego pociągu elektrycznego, wyprodukowanego w kraju na podstawie własnej dokumentacji technicznej.

Dobiegają końca prace nad pierwszym polskim „trójczłonem elektrycznym”. To techniczne sformułowanie oznacza po prostu sprzężony zespół trzech wagonów. Silnik trójczłonu wmontowany jest w wagon środkowy. Sterować pociągiem można zarówno z pierwszego, jak i z trzeciego wagonu — i to jest ogromna zaleta trójczłonu: pociąg taki może jechać — dowolnie — w tył czy w przód — bez żadnego weksłowania czy manewrowania.

Tysiące ludzi, dojeżdżających codziennie do pracy z podwarszawskich miejscowości, wiedzą dobrze, jaki to wspaniały środek lokomocji — pociąg elektryczny. W języku technicznym mówi się, że ma on sprawność 6-krotnie wyższą od pociągu parowego, a w języku popularnym oznacza to oszczędność w czasie (na przejeździe 100 km — aż 1 godzinę!), no i poważną oszczędność węgla.

Nie od dziś konsekwentnie elektryfikujemy większe węzły kolejowe: warszawski, Wybrzeża (Gdańsk, Gdynia, Sopot) i Śląska. Elektryfikujemy również wielką magistralę komunikacyjną Warszawa — Łódź — Staliność. Wniosek sam się nasuwa: potrzebujemy coraz więcej pociągów elektrycznych i tę potrzebę w coraz szerszym stopniu będziemy zaspokajali własnymi środkami.

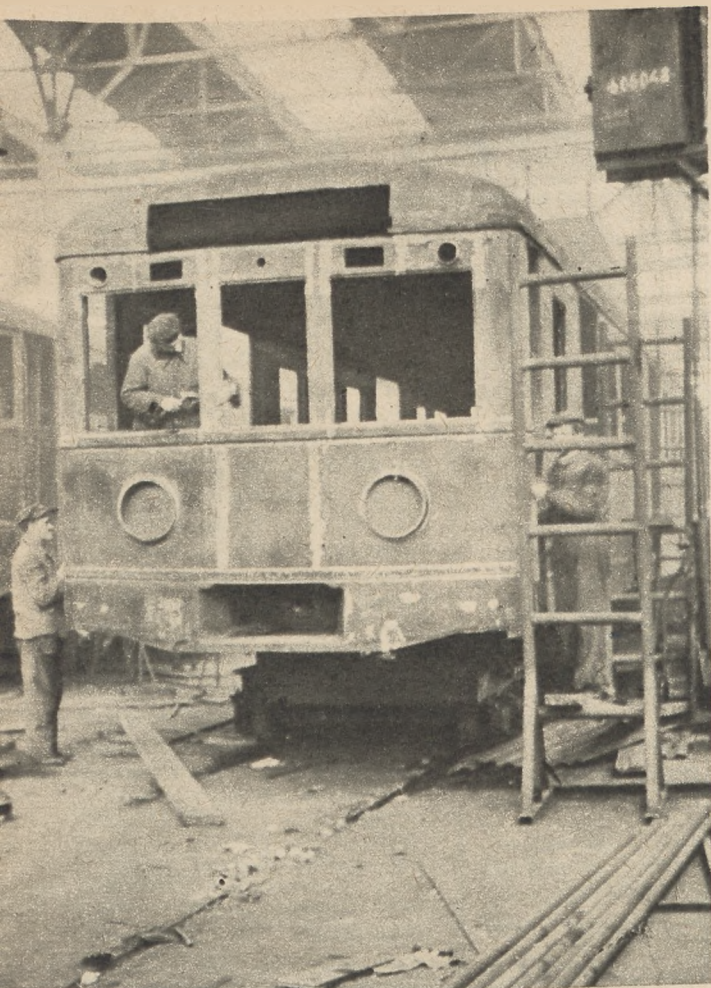
Nie wszyscy może wiedzą, że dotychczas w Polsce nie produkowaliśmy pociągów elektrycznych. Dziś — pierwszy wykonany według polskiej dokumentacji technicznej trójczłon elektryczny stoi — prawie całkowicie już wykonany — w wielkiej hali montażowej wrocławskiego PAFAWAGU. Automatycznie rozsuwane wejścia (po 3 w każdym wagonie), izolowane korkiem i pokryte linoleum podłogi i ściany, wygodne ławki — to gwarancja, że będziemy jeździć polskimi pociągami elektrycznymi nie tylko szybko — ale przyjemnie i wygodnie.

Załoga PAFAWAGU z niecierpliwością oczekuje prób warsztatowych i decyzji: czy wybudowany przez nią pierwszy trójczłon odpowiada wszelkim wymaganiom? Czy można go już oddać do prób eksploatacyjnych?

Co prawda każdy szczegół wielokrotnie sprawdzono, ale... konstruktorzy, personel techniczny i robotnicy przeżyją nie lada emocje, gdy rozpoczną się próby napięciowe. Prąd pod napięciem 7.500 volt uderzy w przewody, które normalnie pracować mają pod napięciem „jedynie” 3.000 volt; przez kabinę sterowniczą zamiast normalnych 110 volt — przepłynie prąd o napięciu 1.000 volt. I jeszcze próby i próby: jak działają pneumatyczne hamulce, oświetlenie, sygnalizacja, czy przewody są idealnie szczelne itd. itd.

Dopiero po tym skomplikowanym i wcale nie łagodnym egzaminie — jeżeli wypadnie „na piątkę” — pierwszy wykonany w Polsce trójczłon elektryczny odjedzie w służbę ludzi. Poznacie go na pewno.

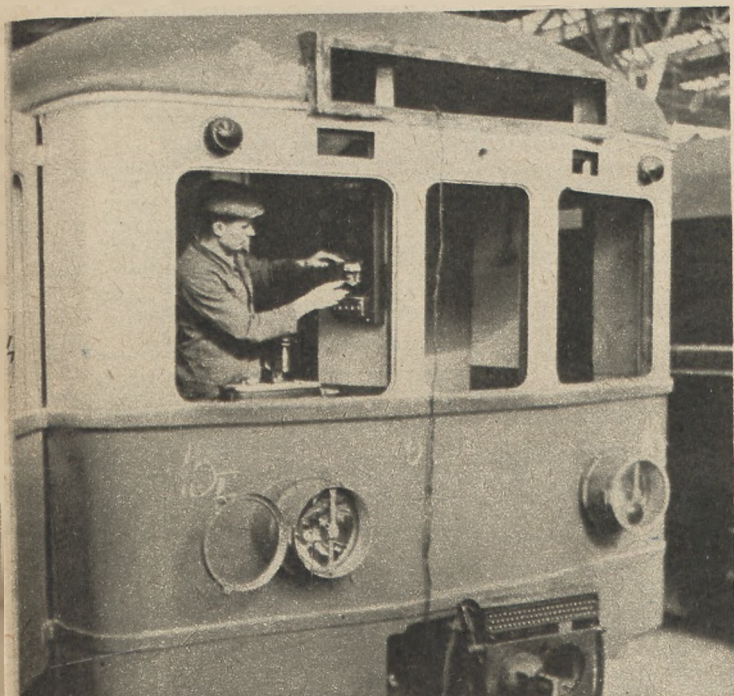
A równocześnie załoga PAFAWAGU zacznie budować następne.



elektrotechniczne. Potem wagony przejdą w ręce stolarzy, tapicerów, malarzy — i wyruszą na linie kolejowe.



Stolarz Trębicki wykańcza wozy od wewnątrz. „Podróż naszymi wagonami — mówi — musi być pierwsza klasa”



Praca mozolna, ale konieczna: w kabinie sterowniczej trzeba sprawdzić działanie skomplikowanej aparatury

MURZYN PANA DZIEWIERSKIEGO

JULIAN STAWIŃSKI

New York — Łódź — Rio — 1867 — 1941

*Na scenie dramat. Do ogrodu,
Gdzie pośród róż i rezed mieszka
Błękitnooka białosnieżka,
Królowa z lilijnego rodu,
Wdarł się gorący Murzyn krwawy,
Straszny, błyszczący król z Afryki,
Gdzie smok zamorski pełznie z sykiem
I kwitną dzikie sangwaraby.*



Julian Tuwim w Rio de Janeiro w okresie pisania I części „Kwiatów polskich”. Grudzień 1941. (w Brazylii o tej porze panuje lato)

NOWY JORK nie był jeszcze olbrzymem, ledwo, ledwo przekroczył pierwszy milion. Łódź natomiast była już „dużym” miastem, liczyła ponad 40.000 mieszkańców. Ludność niemiecka, jako że zamożniejsza, wcześniej się dorobiła stałego teatru. Uroczyste otwarcie tego przybytku w dawnym lokalu „Paradis” przy placu Kościelnym, celebrowano w maju owego właśnie roku 1867. Ale i scena polska czyniła szybkie postępy, zwłaszcza odkąd znany protektor sztuki, Fryderyk Sellin, wystawił nową salę, ochrzczonej mianem „Arkadia”, od ulicy Konstantynowskiej. Zjeżdżały tu Trapszo, Biedrowska, Borkowska, dawał gościnne występy Królikowski, Benda, Sarnowski, a w lżejszym repertuarze występowała słynna Zimajerka. Grano przeważnie komedie — „List żelazny”, „Wasy i peruka” Korzeniowskiego, „Damy polskie” Dmochowskiego — dawano i poważniejsze sztuki. Wśród tych ostatnich największą furorę zrobił, trochę niesłusznie do nich zaliczony, „Rinaldo Rinaldini”. Tak więc życie teatralne płynęło wartką falą.

Tęgo jednak lata teatromanów łódzkich elektryzowało nieporównanie większe wydarzenie. W pierwszych dniach sierpnia przybyć miał w drodze z Paryża do Petersburga i wystąpić w trzech przedstawieniach sławny na cały świat odwórca Szekspira, wielki aktor murzyński Ira Aldridge.

Poprzedzał go rozgłos olbrzymi i fantastyczna legenda. „Senegalczyk, syn królika jednego z plemion Fullahów, udał się razem z ojcem, który spieniężył swe afrykańskie dziedzictwo, do Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku próbował pierwszych sił na scenie, potem przygotowywał się do stanu duchownego. Ale zaniechał tej myśli. Wrócił do aktorstwa, ruszył do Anglii i w 1833 r. szturmem podbił wybredną publiczność teatru Covent Garden. Niebawem zdobył sławę na obu półkulach...” Tak pisała zacna, prowincjonalna „Łódzka Zeitung”, to samo utrwalił dostojny, „Immer gründlich”, Leksykon Mayera.

Rzeczywistość była mocno odmienna, choć nie mniej porywająca. Ira Aldridge nie wywodził się z rodu senegalskich kacyków. Przyszedł na świat w New Yorku, roku 1807, jako syn ulicznego sprzedawcy. Mając lat 18 wstąpił do murzyńskiego zespołu teatralnego Browna. Lecz Ameryka tego czasu, podobnie jak Ameryka McCarthy’ego i Eisenhowera, wbrew słowom hymnu narodowego dawno już przestała być „ziemią wolnych, siedzącą dzielnych”. Dla odetchnięcia powietrzem wolności Murzyn zwłaszcza musiał uchodzić z kraju, gdzie wystarczyło fałszywe zeznanie białego, aby przemienić go w niewolnika. Aldridge zaciągnął się na statek idący do Anglii jako steward. W drodze poznał wybitnego aktora angielskiego, Jamesa Wallacka, i przy jego pomocy rozpoczął występy na scenach prowincjonalnych. Szybko zyskał uznanie, pojechał do Londynu i tam, w Covent Garden wystąpił w roli Otella. Desdemonę odtworzała Ellen Tree.

„Wytworna publiczność” okazała się niewzruszona na wielki talent. Wrażliwa była na co innego. „W imię przyzwoitości — pisał wpływowy krytyk „Atheneum” — musimy zaprotestować przeciw haniebnym praktykom dyrekcji, która każe świetnej aktorce i przyzwoitej dziewczynie, jaką jest Miss Tree, występować razem z czarnym służącym Mr. Wallacka!”

Zrażony rasistowskim wypadem śmietanki publiczności i krytyki Londynu, Aldridge wyjechał na kontynent. Nastąpiło pasmo nieprzerwanych sukcesów. Ale największy entuzjazm wywołał artysta w Petersburgu. „Choć mówi językiem dla nas niezrozumiałym — pisał historyk rosyjski Pogodin — potęgą jego ducha jest tak olbrzymia i tak olbrzymia potęgą jego sztuki, że od pierwszej chwili zawiadnął całkowicie widownię. Miłość, nienawiść, łagodność, gniew, zazdrość, pokorę, dobroć pełną prostoty — wszystko ten Murzyn wyraża jednako zadziwiająco, niezwykłą siłą”. W Petersburgu oglądał go także wielki pisarz francuski, Theophile Gautier, i nie miał dość słów zachwytu.

Odtąd nie już nie mogło zaimać blasku sławy genialnego aktora. Chyliły się przed nim koronowane głowy, sypały zaszczyty, pruska Akademia Nauk i Sztuk mianowała swym członkiem honorowym. Nie umniejszał tego blasku fakt, że do własnej ojczyzny nie mógł wrócić z obawy, by jakiś ciemny plantator nie zakuł go

w dyby i nie zmusił do pracy przy zbiorze bawełny pod słońcem podzwrotnikowym i batem nieuludkiego dozorczy.

I oto wielki tragik przybył do małej Łodzi. Dał trzy przedstawienia — grał po angielsku, reszta zespołu — po niemiecku. Trzeciego wieczora zaniemógł: wrzód na lewej piersi. Wrzód zropiał, wywiązało się zapalenie. Aldridge nie wstał już z tej choroby. Zmarł 7 sierpnia 1867. Pochowano go na cmentarzu ewangelickim w Łodzi. Została po nim córka, znana śpiewaczka estradowa, Amanda Ira Aldridge. Do jej uczniów zaliczali się Marian Anderson i Paul Robeson.

Samotny grób najpierw otoczyły baśnie, później przysypał piasek niepamięci. Wspomnienie odżyło raz jeszcze po 18 latach, gdy urządzono koncert na rzecz budowy cmentarnego pomnika. W koncercie wzięli udział skrzypce Stanisław Barcewicz oraz artystki warszawskie: Marcello-Palińska i głoszna z urody, a niebawem z tragicznej śmierci, Maria Wisnowska. Od tego czasu piasek zapomnienia sypał się bez przerwy.

Mineło trzy ćwierci stulecia. Na drugiej półkuli, o tysiące mil od łódzkiego cmentarza, tęsknota za krajem ojczystym nie dawała wytchnienia poecie, który musiał uchodzić przed hordami Hitlera. Wraciał myślą do rodzinnej Łodzi, z głębin wspomnień dobywał stare dzieje, rzeczy zasłyszane w dzieciństwie i od lat już na pozór zamarte. Wydobył z tych wspomnień cały świat swej młodości, a wraz z nim wydobył i utrwalił na wieki pamięć genialnego murzyńskiego aktora. Bez jakichkolwiek zapisek, bez czasopism „z epoki”, bez aparatury badań i dokumentów, jakiego zwykle w tych razach używa twórca. Oparł się wyłącznie na siłę uczucia i mocy talentu. Posłuchajmy:

*Było to wewnątrz starej sali
Selina w Łodzi. Tam przed laty
On z Andzią na galerii stał,
Zaczarowani, skamieniał,
Kiedy ów czarny i zębaty
Przewracał błyskające oczy
I z warg mięsistych pianę toczył,
Gdy chytry judził go i kusił,
Aż wódz uwierzył — i zadusił.*

*Trzy razy, wieczór po wieczorze,
Musiał z nią chodzić — tak ciągnęła...
I tak do serca sobie wzięła
Tę smutną bajkę o potworze
Z Afryki i o białej pani,
Że była jakby urzeczona
Prześliczno jego narzeczona...
A już na zapowiedzi dali*

*Pisze w kronikach starodawnych,
Ze gościł w mym rodzinnym mieście
Pewien murzyński aktor sławny.
Bóg raczy wiedzieć — czy w przejeździe
Skądś dokądś — czy go przeznaczenie,
Postulował czarnej jego gwiazdy,
Ku łódzkiej skierowało scenie,
Dość, że nad Łódkę zawędrował,
Tam na teatrze występował,
Tam zmarł na jakieś zapalenie
Z dala od Afryki-macierzy
I na cmentarzu łódzkim leży.*

Zważmy, iż nie jest to wstawka, dygresja czy przelotny epizod, ale sam zrab, założenie, punkt wyjścia poematu. Stąd wziął się zawiązek całej fabularnej intrygi „Kwiatów polskich”. Wiemy, że zazdrość będzie odtąd gniciła bez przerwy pana Dziewierskiego, wpłynie na losy starego ogrodnika i jego wnuczki, stworzy powracający stale wątek opowieści.

Tak wielki Łódzianin złożył hołd i na zawsze nieśmiertelności potęgą swego geniuszu zmarłego w jego mieście rodzinnym czarnego syna dalekiego New Yorku.



To już taka wypróbowana, warszawska metoda — przy budowie nowych dzielnic miejskich nie zapominać o pięknie, jakie przekazała naszemu pokoleniu przeszłość. Lublin buduje się teraz po warszawsku — obok rekonstruowanego śródmieścia i wznoszonych dzielnic — przyoblega się w dawną szatę zabytkowe Stare Miasto. Łącznie z Bramą Krakowską, pod którą — jak nas zapewnia rdzenny lublinianin — nikt już na pewno nie będzie sprzedawał „bajgli“...

Nr 14 29 marca — 4 kwietnia 1954

Do litościwych serc Lublina

Sierota, prawnik, od lat kilku bez pracy, nie korzystający z żadnej pomocy, będąc w ostatniej nędzy prosi w imię miłosierdzia litościwe serca o danie mu pracy biurowej, korespondencji — względnie zapomogi pieniężnej — czy też w starym ubraniu, bucikach czy bluzie. Na żądanie zaświadczenie urzędowe. Łaskawe zgłoszenia przysyła: Włóczyński Antoni, Lublin poste restante, Nr legitymacji 73.

„Kurjer Lubelski” Nr 244, 1932 r.

Znana ze swej samarytańskiej pracy w Lublinie siostra Maria, opiekująca się od szeregu lat najsłabszą nędzą, której tak wiele w naszym mieście, apeluje za naszym pośrednictwem do litościwych serc lublinian, by biorąc pod uwagę dzisiejsze ciężkie położenie biedaków nie szczędzili ofiar i przysłali im z pomocą w jakiegokolwiek postaci.

Wszelkie ofiary, nawet najdrobniejsze, poza tym artykuły spożywcze, jak skórki od chleba, stare kartofle, kapustę itp., — składać można u siostry Marii w Domu Zarobkowym, ul. Dominikańska 1 (za Bramą Krakowską). Użyjmy doń nieszczęśliwych.

„Kurjer Lubelski” Nr 168, 1932 r.

Na froncie lokatorskim

DNO NĘDZY POGŁĘBIA SIĘ STAŁE

Z dniem każdym rośnie nowa fala bezdomnych, wyrzucanych na bruk najbiedniejszych rodzin. Codziennie do redakcji naszego pisma napływają skargi i żale na gospodarzy, którzy z całą namyślną nienawiścią wyrzucają każdego, którego nie chroni dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o wstrzymaniu eksmisji.

Obecna walka rozgorzała na całym froncie. Gospodarz stał się zdecydowanym wrogiem każdego, kto nie może uregulować komornego. Z wrogiem tym walczy brutalnie, wyrzuca go na bruk, wraz z dziećmi i gratami.

Nie wchodzi w tragizm człowieka nie mogącego płacić.

Na łamach „Kurjera Lubelskiego” niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na niedostateczność i zasadnicze braki dekretu o eksmisjach.

Dekret chroni tylko bezrobotnych. Na żer kamieniczników pozostawia wszystkich tych, którzy nie mogą wykazać się książką bezrobotnego. Zapytujemy, ilu w Polsce jest ludzi, którzy pracują zaledwie 1, 2, 3 dni w tygodniu.

Takich jest co najmniej 50% ogółu robotników. Robotnicy ci zarabiają po kilka złotych miesięcznie. Czy są oni w stanie płacić komorne?

Czyż moralne jest ze strony państwa pozostawiać tych ludzi bez żadnej opieki i zapewnienia im dachu nad głową?

Dla przykładu, który zilustruje tragizm położenia licznych rodzin, mamy kilka wypadków z naszego miasta.

Dnia 23 czerwca hr. Stefan Kozak, zamieszkały przy ul. Wesołej 3, w kurytarzu — pisze,

DOBNE OGŁOSZENIA

DOM stary i nowy
dochód roczny
20.000 sprzedam za
150.000 wpłata 50.000
wiadomość „Kurjer Lubelski”
1104

Niewesołe horoskopy
zatrudnienia
bezrobotnych przez
Magistrat lubelski
w bieżącym sezonie
budowlanym

Nadejścia wiosny oczekują setki i tysiące ludzi. Każdy z nich coś sobie od niej (wiosny) obiecuje. Powstają nowe myśli, nowe pragnienia, jednym słowem — wstępuje w człowieka nowe życie. Dzięki w czasach nękającego nas kryzysu wiosna ma zgolać odmienne znaczenie. Zmęczeni długotrwałą zimą o głodzie i chłodzie bezrobotni, których zastępy z każdym rokiem się zwiększają, w nadejściu wiosny widzą swe i swych rodzin zbawienie, bowiem liczą oni na jakąś pracę. Niestety, kryzys gospodarczy staje się wszystkim w poprzek. Dowiadujemy się mianowicie, że Magistrat m. Lublina wraz z przedsiębiorstwami zatrudni w nadchodzącym sezonie budowlanym zaledwie około 150 robotników — jest to stanowczo cyfra znikoma na z górą 2000 bezrobotnych w Lublinie i jeśli nie ruszy się ruch budowlany prywatny, to dla bezrobotnych powstaną niewesołe horoskopy.

„Kurjer Lubelski” Nr 110, 1932 r.

BANKRUCTWO MORALNE

Na marginesie licznych samobójstw w Lublinie

Nie ma prawie dnia, żeby nie zanotowano w Lublinie jakiegoś wypadku zamachu samobójczego. Jest to objaw wprawdzie zastraszający. I co właściwie jest przyczyną tej epidemii samobójstw? Czytając prasę lubelską dowiadujemy się, że w bardzo wielu wypadkach przyczyną zamachów samobójczych jest brak środków do życia, a więc nędza. Inni targają się na swoje życie wskutek różnych nieporozumień rodzinnych, a inni jeszcze na tle różnych zawo-

dów czy sercowych, czy finansowych.

Czy z punktu etycznego, moralnego, czy nawet społecznego są to przyczyny do targnięcia się na własne życie? Z myślą tą nie pogodzi się chyba nikt, kto trzeźwo i zdrowo patrzy na życie. Jest to, niestety, smutne świadectwo bankructwa moralnego, jakie wiera się w szeregi wszystkich warstw społeczeństwa polskiego. Równocześnie z nędzą materialną rośnie i nędza moralna. A trzeba stwierdzić, że nędza moralna, to dla Polski większy jeszcze cios niż nędza materialna.

Tego bankructwa moralnego nie zwalczymy, jeżeli nie zmniejszymy do minimum nędzy materialnej.

Dajmy ubogim chleba, a podniesie się i poziom ich moralny. Pomoc jednak ubogim powinniśmy dawać nie z łaski, ale z chrześcijańską miłością, z pewnym pietyzmem religijnym. Spółob dawania jałmużny odgrywa bardzo ważną rolę. Z sercem trzeba iść do ubogich i do serca im przemówić. Taką tylko drogą możemy tępić szerzące się bankructwo wśród najuboższych.

„Głos Lubelski” Nr 10, 1931 r.

Plaga małoletnich żebraków winna zniknąć z naszego miasta

Od dłuższego już czasu na głównych ulicach naszego miasta, a zwłaszcza na Krakowskim Przedmieściu, snują się całe gromady małoletnich żebraków — chłopców i dziewczynek, w natrętny sposób atakujących o jałmużnę. Nierazko widzi się dzieci w wieku 6-8 lat i starsze. Rozumiemy, że w dzisiejszych niezwykle ciężkich czasach dzieciaki te zmuszone są często szukać wsparcia na ulicy, zachodzi jednak, jak w każdej zresztą sprawie, pewne „ale“ i to bardzo poważne. Przede wszystkim pora, w jakiej ci małoletni żebracy snują się po ulicach. Przy ulicy Kościuszki do godziny 11 kręca się dziewczynki w wieku 10-12 lat i proszą o wsparcie. Mówiono nam, że dziewczynki te wciągane są do bram przez pewnych starszych panów, którzy pod pozorem ofiarowania kilku groszy uprawiają nieczyste praktyki. Dziewczęta nęcone obietnicą chętnie przystają na propozycje. Druga rzecz, na jaką zwrócono nam uwagę, to marnowanie otrzymanych pieniędzy

na papierosy, smakołyki itp. Zatem nie nędza pcha te dzieci na ulicę, robią to raczej dla sportu i dlatego właśnie należy temu jak najenergiczniej przeciwdziałać.

Plaga małoletnich żebraków winna bezwzględnie zniknąć z powierzchni Lublina.

„Kurjer Lubelski” Nr 205, 1932 r.

TRAGEDIA WIEŚNIACZKI

Wczoraj rano przyjechała do Lublina w poszukiwaniu pracy 31-letnia Helena Stróżyk, mieszkanka kolonii Biskupice, która kilka godzin tułała się bezowocnie po ulicach — nie mogąc nigdzie znaleźć schronienia. Przyjechała oczywiście głodna i bez żadnych środków do życia. Wyczerpana padła nieprzytomna na ulicy. Zaopiekowali się nią przechodnie, wzywając Pogotowie Ratunkowe. Lekarz po zastosowaniu odpowiednich środków — przewiózł nieszczęśliwą do baraku dla bezdomnych.

„Kurjer Lubelski” Nr 184, 1932 r.

OFIARA BEZROBOCIA

31-letni Jan Gójanek (Pawia 3) od dłuższego czasu znajdował się bez pracy. Nędzne życie, jakie z konieczności musiał prowadzić, sprzykrzyło mu się wreszcie i postanowił z nim skończyć. W noc sylwestrową długo błąkał się po ulicach i wreszcie w pewnej chwili około północy w pobliżu domu nr 41 przy ul. Krakowskiej Przedmieście wbił sobie nóż w lewy bok, aż po rękoleść. Spieszący na zabawy przechodnie znaleźli leżącego w kałuży krwi Gójana i wezwali Pogotowie Ratunkowe, które po udzieleniu doraźnej pomocy odwoziło nieszczęśliwą ofiarę „dobrych” czasów do Szpitala Szarytek w stanie b. groźnym.

„Głos Lubelski” Nr 3, 1931 r.

ZAMACH SAMOBOJCZY

W dniu onegdajszym, w godzinach rannych, przechodząc Krakowskiego Przedmieścia posłyszeli głośnie jakieś dochodzące na ulicę z bramy domu nr 15. Po otworzeniu bramy ujrano leżącą pod ścianą młodą kobietę, skromnie odzianą. Obok niej leżała na ziemi buteleczka po truciznie. Kilku przechodniów wzięło nieszczęśliwą na ręce i zaniósło na pobliską stację Pogotowia Ratunkowego. Tam udzielono jej pierwszej pomocy, przepłukując żołądek. Okazało się, że nieszczęśliwa napila się stężonego kwasu octowego w zamiarze pozbawienia się życia. Nazywa się Eleonora Kwiatkowska, liczy zaledwie 22 lata. Zamieszkuje ulica Gółębia 6.

Powodem samobójstwa był brak środków do życia.

„Kurjer Lubelski” Nr 25, 1932 r.

Lublin buduje najwięcej domów parterowych

Ostatni numer „Dziennika Zarządu m. Lublina” podaje wykaz planów budowlanych, zatwierdzonych przez Miejską Inspekcję Budowlaną w Lublinie w czasie od 1 stycznia do 1 listopada 1930 roku. Wykaz ten jest o tyle ciekawy, że można się z niego dowiedzieć, jakich gmachów w Lublinie najwięcej się buduje.

W czasie od 1 stycznia do 1 listopada 1930 roku miejskie władze budowlane w Lublinie zatwierdziły 179 planów budowy, nadbudowy czy przebudowy. Największy ruch budowlany według wspomnianego wykazu prowadzony był na przedmieściach, zwłaszcza w dzielnicach południowo-wschodniej. Na ogólną liczbę 179 zatwierdzonych planów, 89 obejmuje budowę domów parterowych. Znikoma ilość planów obejmuje budowę domów większych, dwu czy trzypiętrowych, reszta dotyczy różnych przebudówek czy nadbudówek, w wielu zresztą wypadkach bardzo nieznacznych.

O czym to świadczy? Lublin rozbudowuje się wprawdzie powoli, ale rozbudowuje się na przedmieściach, lecz ta rozbudowa nadaje Lublinowi charakter raczej wiejski, czy w najlepszym razie małomiasteczkowy, niż wielkomiejski. Budowli okazalszych podjęto w roku ubiegłym zaledwie kilka. Rzecz zrozumiała, że spowodował to brak gotówki.

Jak ten ruch budowlany przedstawiać się będzie w roku bieżącym, w tej chwili trudno coś konkretnego powiedzieć, przypuszczać należy, że cudów się nie dokona, owszem, słyszy się tu i tam z ust ludzi kompetentnych, że spodziewać się raczej należy jeszcze większego zmniejszenia ruchu budowlanego.

„Głos Lubelski” Nr 14, 1931 r.

Nasza kanalizacja

Już i doktor od chorób wewnętrznych zabierał głos w sprawie kanalizacji, mówili i inni, sarka wielu, a kanalizacji jak nie było — tak i nie ma! Są rury kanalizacyjne, są przewody, są studnie, czego nie ma? Wszystko jest — tylko nie ma kanalizacji.

Są rury, są długi, są zobowiązania, są pożyczki w bankach, w Ulle nie i wszystko — są oto długi za przeprowadzenie w Lublinie sieci kanalizacyjnej, ale kanalizacji jak nie było, tak i nie ma! Są obywateli, którzy płacą za przeprowadzenie kanalizacji, są obywatele, którzy chcą korzystać z niej, ale nie mogą! Bawem jest tylko sieć kanalizacyjna, ale bruk jest kanalizacją. Rozpacz w białe kropki może ogarnąć nawet spokojnego obywatela, kiedy mając pretensje do kultury chce skorzystać i dać dowód, że umie korzystać z kanalizacji, nie może jednak tego uczynić z powodu jej braku, musi zatem piechotą chodzić za węgiel stodoły, a używanie sieci kanalizacyjnej odłożyć na lepsze czasy. Musimy tu jednak zaznaczyć, że Magistrat będzie wydawał kartki, w jakich godzinach, kto będzie korzystał z sieci, bowiem rury są za wąskie i wszyscy razem nie mogą! Nieprzeko to jednak nastąpi, gdyż nawet Magistrat jeszcze się nie przyłączył i inne urzędy — po starciu.

„Kurjer Lubelski” Nr 13, 1932 r.

Lubelska wiosna 1954

Lublin nie sprawiał przed wojną wrażenia miasta wojewódzkiego. Liczne dzielnice, głównie robotnicze, pozbawione były podstawowych urządzeń komunalnych: brak było światła elektrycznego, gazu, wodociągów, a w niektórych dzielnicach nawet kanalizacji. Przemysł Lublina ograniczał się do kilku prymitywnych fabryczek.

Po wyzwoleniu — miasto Manifestu Lipcowego zatętniło życiem. Doniosłym momentem w rozwoju Lublina stało się rozpoczęcie budowy jednej z większych inwestycji Planu 6-letniego — nowoczesnej Fabryki Samochodów Ciężarowych. Zaczęły powstawać nowe dzielnice mieszkalne, nowe szkoły wyższe. Martwe, ospałe miasto poczęło z wolna nabierać cech ośrodka przemysłowego i kulturalnego.

W ciągu ubiegłych lat rozbudowano i unowocześniono także wiele istniejących już fabryk. Rozrosła się Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych, Lubelska Fabryka Wag, Lubelskie Zakłady Przemysłu Tytoniowego, wzniesiony został duży, nowoczesny browar, wielka mechaniczna piekarnia.

Miasto, które przed wojną miało zaledwie jedną wyższą uczelnię — Katolicki Uniwersytet Lubelski — stało się obecnie jednym z poważnych ośrodków naukowych naszego kraju. Synowie i córki robotników i chłopów kształcą się dziś na czterech wyższych uczelniach i w 14 technikumach lubelskich. Około 2.500 studentów znalazło odpowiednie warunki życia i nauki w domach akademickich.

Po raz pierwszy na ulicach Lublina pojawiły się nowe środ-

ki komunikacji miejskiej — trolleybusy. Ożywił się ospały dawniej ruch uliczny. Liczba pasażerów, przewiezionych środkami komunikacji miejskiej, wzrosła z półtora miliona w roku 1946 do 9 milionów w roku 1951.

Wielkie są plany Lublina na przyszłość. Wybudowana będzie fabryka konfekcji oraz fabryka koncentratów spożywczych. Przewidziana jest dalsza rozbudowa sieci komunikacyjnej. Powstanie lubelska Trasa W—Z, łącząca miasto z Fabryką Samochodów Ciężarowych, oraz Trasa N—S, zbliżająca ku centrum odległe dzielnice południowe. Zaplanowane są nowe szpitale, żłobki, przedszkola. Lublin otrzyma również nową Filharmonię, mogącą pomieścić przeszło 500 osób.

Uchwała Prezydium Rządu z 13 stycznia br. dała Lublinowi możliwość przekształcenia się w nowoczesny ośrodek wielkonadziejski.

Rok 1954 jest zatem rokiem szczególnie intensywnej budowy Lublina. Nie tylko przygodny turysta, ale i stały mieszkaniec tego historycznego miasta nie może nadziwić się tempu, w jakim przekształca się i rozbudowuje pierwsza siedziba rządu Polski Ludowej.

Lublin z wielkim rozmachem przygotowuje się do wielkiego święta — X rocznicy proklamowania Manifestu PKWN. W pełnym toku są prace na Krakowskim Przedmieściu. Instytucje handlowe zamierzają z dzielnicy tej uczynić „salon Lublina” — siedzibę wielkomiejskiego handlu, usług i rozrywek, która by

podkreślała nowy charakter Lublina — przeradzającego się szybko w ośrodek przemysłu, stolicę wielkiego okręgu rolniczego. Hotele „Europa” i „Lublinianka” otworzą podwoje szerokim rzeszom przyjezdnych. Rozbudowane będą ulice Stalingradzka i Kowalska. Powstanie nowe osiedle mieszkaniowe Podzamcze (tzw. lubelski Mariensztat), a w jego pobliżu wielki plac zebrań.

Nieprzerwanie trwają prace przy zorganizowaniu wielkiej wystawy przodującego rolnictwa, której otwarcie nastąpi w czasie obchodów X-lecia wyzwolenia Lubelszczyzny. Wystawa zapozna zwiedzających z przodującą agrotechniką, problemami hodowli, nowoczesną bazą techniczną naszego rolnictwa. Centralnym pawilonem wystawy rolniczej będzie odnowiony historyczny Zamek Lubelski.

Szerokim rozmachem potężnej twórczej pracy powitał Lublin wiosnę 1954 roku.



Już niedługo znikną rusztowania ze starych kamieniczek, które pokażą się wtedy w całej swojej krasie

Zabytkowe wczoraj i dziś

W planach odbudowy i rozbudowy Lublina poważną pozycję zajmuje rekonstrukcja zabytków miasta, nawiązując do najpiękniejszych, najbardziej wartościowych tradycji architektonicznych.

Początki Lublina sięgają bardzo odległych czasów. Jeszcze w okresie mało znanym przez historię, na wzgórzu leżącym nad rzeczką Czechówka wznosił się gród obronny, wybudowany przy wielkim szlaku handlowym, wiodącym od Morza Czarnego do Bałtyku. Nazwę swą miasto otrzymało prawdopodobnie od pierwszego posiadacza czy założyciela owego gródka, imieniem Lubel lub Lubła.

Jedną z najstarszych budowli, która po różnych kolejach losu częściowo przetrwała do dnia dzisiejszego, jest Zamek Lubelski. Historia jego sięga Bolesława Chrobrego, który na miejscu dawnego grodziska wznosił obronny zameczek drewniany. Później, za czasów Kazimierza III, powstał tu z kolei murowany zamek. W roku 1824 z polecenia rządu Królestwa Kongresowego Zamek przebudowany został przez Jakuba Hempla na więzienie.

Dużą wartość architektoniczną przedstawia zachowany do dziś kościół gotycki, będący dawną kaplicą zamkową. Posiada on bardzo rzadko spotyka-

ną konstrukcję dwunawową, wspartą na jednym słupie.

Prace renowacyjne prowadzone są dziś w całym Zamku. Szczególnej staranności konserwatorów wymaga zabezpieczenie odsłoniętych na murach wewnętrznych malowideł. Pochodzą one z roku 1413 i zostały wykonane techniką „al fresco” przez ruskiego malarza Andrzeja.

W południowym skrzydle odbudowanego Zamku mieścić się będzie muzeum, w północnym — Miejski Dom Kultury z salami świetlicowymi, pokojami do pracy klubowej, biblioteką i czytelniami.

Zamek Lubelski, leżący między historycznym centrum miasta a nową dzielnicą przemysłową — stanowić będzie jak gdyby kłamek, łączącą „wczoraj i dziś” Lublina.

Odżywa piękna część Lublina — Stare Miasto. Architekci przywracają mu dawną zabytkową szatę, nawiązując do najwspanialszego okresu, jakie przeżywało Stare Miasto i jego

Rynek w epoce Odrodzenia. Rynek Starego Miasta i przylegające do niego ulice utrzymują więc dawny wygląd. Trybunał pokryty szlachetne tynki zewnętrzne: zniszczona rzeźba, znajdująca się we frontonie, a przedstawiająca Sprawiedliwość i Władzę — zrekonstruowana będzie według zachowanych rysunków. Dawna krasa przywrócona zostanie historycznej kamienicy Sobieskich, charakterystycznej swym 5-okiennym frontonem i fasadą, ozdobioną stiukami z XVII wieku. Jej sąsiadki, inne kamieniczki Starego Rynku, odzyskają swe dawne rzeźby dekoracyjne, malowidła itp.

Spośród dziesiątków odbudowanych zabytków wspomnieć należy o rekonstrukcji bram: Krakowskiej i Grodzkiej. Obie wzniesiono w roku 1342 w stylu gotyckim. W XVIII wieku, w wyniku przebudowy, straciły swój poprzedni styl. Obecnie, na podstawie dawnych obrazów i szkiców, przywróci się obu bramom pierwotny, zabytkowy wygląd z XIV wieku.



Mieszkańcy Lublina chętnie pomagają przy odbudowie swego miasta. Od 17 lutego do 20 marca ofiarowali już około 20.000 roboczogodzin

Lublinianin opowiada...

— Lublin przedwojenny pamiętam dobrze i dobrze pamiętam tamte czasy. O robotę było bardzo trudno. W mieście nie znalazłem pracy, więc włożyłem się jak ten dziad z torbami po majątkach i czasami udało mi się dostać do robót na roli. Była to naturalnie praca sezonowa. Ponieważ tam gdzie pracowałem równocześnie mieszkowałem, więc i mój dom był sezonowy. Spało się po prostu w czworakach, gdzie jedną izbę dawało 12 robotnikom.

Kiedy się ożeniłem i zamieszkałem w mieście, u żony — też niewiele się zmieniło. Bieda dobrała się do nas wtedy na dobre: żona nie mogła nigdzie znaleźć pracy, a ja jak pracowa-

ALEKSANDER GRUDKA
robotnik F.S.C.

łem 5—6 dni w miesiącu, to już było dobrze...

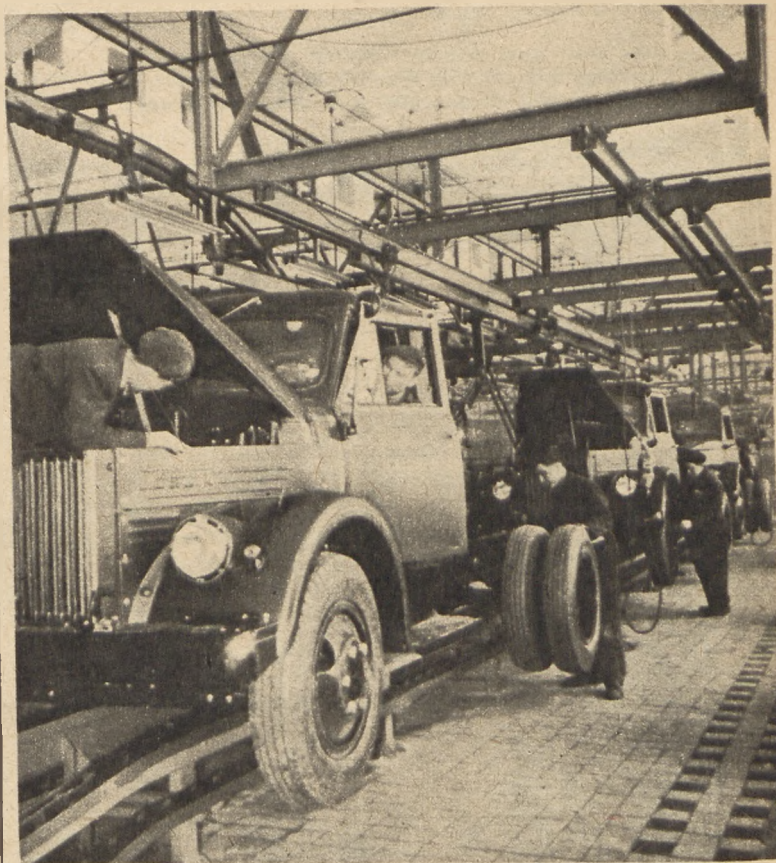
Pamiętam nasze mieszkanie przy ul. Kunickiego 8. Mała izba na poddaszu, duszno, a po wodę trzeba było chodzić do sąsiedniego domu, bo wodociąg u nas nie było. W tej norze mieszkaliśmy z żoną i pięciorgiem dzieci. Dwoje dzieci mi zmarło...

Po wojnie życie ułożyło mi się inaczej. W Lublinie zaczęły powstawać nowe fabryki. Zgłosiłem się do pracy przy budowie Fabryki Samochodów Ciężarowych. Zacząłem na budowie, jako niewykwalifikowany, a teraz pracuję w samej Fabryce, jestem brygadystą transporto-

wym. Żona też pracuje, jest konduktorką w autobusach.

W zeszłym roku dostaliśmy na Bronowicach ładne, trzypokojowe mieszkanie. Bronowice — to nasza nowa dzielnica. Dawniej były tam tylko pola, dziś jest tu już dużo nowych bloków. Mamy światło, gaz, łazienkę. Żona czasem żartuje, że nie potrzebujemy już chodzić do sąsiedniego domu po wodę...

Moje dzieci żyją już inaczej niż ja. Chodzą wszystkie do szkoły, będą miały zawód i pracy dla nich nie zabraknie. Najmłodszy chłopak urodził się już po wojnie. Może bawić się bez troski ze swoimi kolegami. Nie pójdzie już sprzedawać „bajali” pod Bramą Krakowską...



Fabryka Samochodów Ciężarowych im. Bolesława Bieruta — największy zakład przemysłowy Lublina

Z A B Y W S T A W I E

Ś L A D A M I Ś M I E R D Z A C E J S P R A W Y (2)

MOGŁOBY się wydawać, że dzień 5 listopada 1937 roku pozornie niczym się nie wyróżniał. Nic nie wskazywało na to, iż ten piątek mógłby być dla nas taki ważny. Po nocy wstaliśmy, umyliśmy się i zjedliśmy śniadanie. Dzieci poszły do szkoły, tramwaje i autobusy kursowały normalnie, w kolejnictwie nie zanotowano większych opóźnień w ruchu pociągów. Nikt z nas nie przeczuwał, że ten dzień, pozornie podobny do wszystkich innych, pociągnie za sobą tyle nieszczęść.

REZERWAT DLA POŁOWAŃ

Tego dnia czytelnicy gazet mogli przeczytać wiadomość o wielkim sukcesie Polski na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie — na której całą ścianę zajęły portrety prezydenta Mościckiego i marszałka Rydza-Śmigłego w strojach myśliwskich. „W każdym razie możemy się poszczycić — pisał felietonista — że jesteśmy w Europie rezerwatem, w którym można jeszcze polować. A ludność przyzwyczajona jest do polowań. Jesteśmy otrząskani z nagonką, polowaniem na gotówkę! W Warszawie zgłoszono do Komisarjatu Rządu nową partię polityczną pod nazwą „Narodowych Monarchistów“, która jako zadanie statutowe postawiła sobie „walkę o dziedziczną monarchię w Polsce, opartą o sejm korporacyjny“. W Wilnie sędzia śledczy do spraw politycznych, Abramowicz, zakończył śledztwo w sprawie Henryka Dembińskiego i innych oskarżonych o działalność wywrotową, przekazując akta sprawy prokuratorowi do spraw politycznych, Wolskiemu. Razem z Dembińskim mieli stanąć przed sądem Stefan Jędrzychowski, Jerzy Putrament oraz Maria Żeromska. W Gdyni toczył się tego dnia dalej proces ośmiu członków Komunistycznej Partii Polski, oskarżonych o werbowanie marynarzy do sił republikańskiej Hiszpanii. „Wydział śledczy — depeszowali sprawodawcy z sali rozpraw — zaobserwował robotę komunistyczną w gdyńskich związkach klasowych i oddziałach TUR na Grabówku i w Kacku. Akcja polegała głównie na wciąganiu bezrobotnych gdyńskich do ruchu jednolitych frontów, organizowaniu pomocy dla więźniów politycznych, gloryfikowaniu ustroju sowieckiego, głoszeniu hasel komunistycznych, uchwaleniu rezolucji solidaryzujących się z czerwonymi w Hiszpanii“.

Krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny“ zamieścił — jak zwykle — dziesiątki ogłoszeń, a m. in.: „Kawaler ślusarz-monter przystojny pozna matrymonialnie panią, która umożliwi jakkolwiek pracę“. W kinach pokazywano „Sklamałam — dzieje kobiety, którą prześladował błąd młodości“ z Jadwigą Smosarską w roli głównej, a w Teatrze Polskim w Warszawie



W porozumieniu z sanacyjnym wywiadem „powstanie“ na Słowacji miał wywołać Tuka (czwarty od lewej). Gdy sprawa się wykryła, Tuka poszedł do więzienia, ale sanacja miała już w zanadru innych agentów

przygotowywano się gorączkowo do wyznaczonej na dzień następny premiery sztuki „Gałązka rozmarynu“ Zygmunta Nowakowskiego, reklamowanej jako „widowisko z dziejów walk legionowych“.

46 ANIOŁÓW I JEDEN DIABEL

Z Wiednia doniesiono, iż rząd Franco wysłał księcia Albę w poufnej misji do Londynu. Dzienniki przytaczały zapowiedź księcia, iż „między Anglią a Hiszpanią zorganizowana będzie współpraca gospodarcza, która sięgać będzie tak daleko, że w przyszłości nabywać będzie można hiszpańską rudę żelazną tylko za pośrednictwem Anglii. Słychać — depeszowali dalej zagraniczni korespondenci — że Anglia, nauczona przykrym doświadczeniem z czasów wojny abisyńskiej, pragnie zapewnić sobie już teraz wszelkie korzyści z hiszpańskiej wojny domowej“. Liberalny „Manchester Guardian“ informował swych czytelników, że „Tokio skłania się ku wnioskowi, iż osłabienie militarne Rosji jest faktem postępującym coraz bardziej, a nawet, że kadry oficerskie sowieckie są w stanie rozkładu“. „Ilustrowany Kurier Codzienny“ zamieścił depeszę z Włoch podającą, iż niejaki Luigi Alivert z Saronno miał wizję, „że glob ziemski rozpadł się na trzy części, a następnie w proch, by po chwili przybrać kształt trzech grup i następnie normalnego globu. Podczas tego procesu kosmicznego śpiewał niebiański chór, złożony z 46 aniołów“.

Rankiem tegoż dnia kanclerz Hitler przyjął ambasadora Lipskiego, któremu oświadczył, iż przez „sprawę gdańską“ polsko-niemieckie stosunki nie będą zakłócone.

W tym czasie, kiedy ambasador zadowolony z siebie redagował depeszę do Warszawy, miało miejsce wydarzenie, o którym nie pisały żadne gazety, wydarzenie, o którym nikt z nas nie wiedział.

Około godziny 16 wartownicy z gwardii przybocznej Hitlera, strzegący Kancelarii Rzeszy w Berlinie, prezentowali broń przed ludźmi wysiadającymi z pięknych limuzyn, zajeżdżających kolejno przed wspaniałymi gmachami. Jeden po drugim odpowiadali na honory wartowników i śpieszyli do wnętrza gmachu: minister wojny marszałek von Blomberg, głównodowodzący wojsk lądowych generał pułkownik baron von Fritsch, głównodowodzący marynarki wojennej admirał Raeder, głównodowodzący lotnictwa generał pułkownik Goering oraz minister spraw zagranicznych baron von Neurath. Hitler wraz ze swym adiutantem płk. Hossbachem czekał już na nich i kiedy tylko zajęli miejsce — wystąpił z dłuższym przemówieniem.

Nad zebraniem zaciążyły już pierwsze wypowiedziane przezeń słowa. Hitler oświadczył mianowicie, iż w innych państwach przyjęte jest dyskutowanie takiego tematu, jaki on chciałby poruszyć — na radzie ministrów. Ten problem ma jednak tak wielkie znaczenie, iż wiedzieć o nim może tylko sześćciu zebranych ludzi. To, co chce powiedzieć, opiera się na doświadczeniach czterech i pół lat jego dotychczasowej władzy. Gdyby jednak miał umrzeć, to chce, aby wywody te uważane były za jego testament.

Po tym wstępie twarze zebranych przybrały wyraz jeszcze większego napięcia. Przecież za chwilę z ust człowieka, który ma w swych rękach los Niemiec, usłyszą jego własne najtajniejsze plany. Hitler powiedział, że Niemcy mają dość węgla i żelaza, ale brak im miedzi i cynku. Skoro mowa o żywności, to ziemia niemiecka nie wyżywi sama swych mieszkańców. 560.000 rocz-

nego przyrostu ludności zbliża możliwość katastrofy. Import żywności prowadzony jest drogą morską, czyli że Anglia może odciąć dostawy do Niemiec. Rozwiązaniem są przeto nie kolonie zamorskie, ale nowe obszary surowcowe, położone w bezpośrednim sąsiedztwie Rzeszy. Dawniej nie było bezpiecznych obszarów — mówił dalej Hitler — i nie ma też ich i teraz. Napastnik zawsze musi natknąć się na właściciela ziem. Chodzi teraz o to, aby jak najmniejszym wkładem uzyskać największą korzyść!

GODZINA 17.30

Zegar wskazywał już wpół do szóstej. W Polsce, czyli „nowym obszarze surowcowym, położonym w bezpośrednim sąsiedztwie Rzeszy“ — życie toczyło się normalnym trybem. Żony czekały w domach na powrót mężów z pracy. W dziennikach zaczynały się już wieczorne dyżury redakcyjne — ale w żadnej z depesz, nadchodzących do dziesiątków redakcji i wypływanych przez dalekopisy Polskiej Agencji Telegraficznej nie znalazły się słowa, które padły wtedy na sali konferencyjnej w Berlinie: „Zagadnienie niemieckie można rozwiązać tylko siłą“.

Akcja — mówił Hitler — musi rozpocząć się najpóźniej między rekiem 1943 a 1945, kiedy zbrojenie wojska, marynarki i lotnictwa będzie już zakończone. Obecne uzbrojenie jest nowoczesne, ale przy dłuższym czekaniu będzie ono przedawnione, a także nie da się utrzymać sekretu tajnych broni. Tyle, jeśli chodzi o termin. Co do celu uderzenia — Hitler opowiedział się za najazdem na Austrię i Czechosłowację.

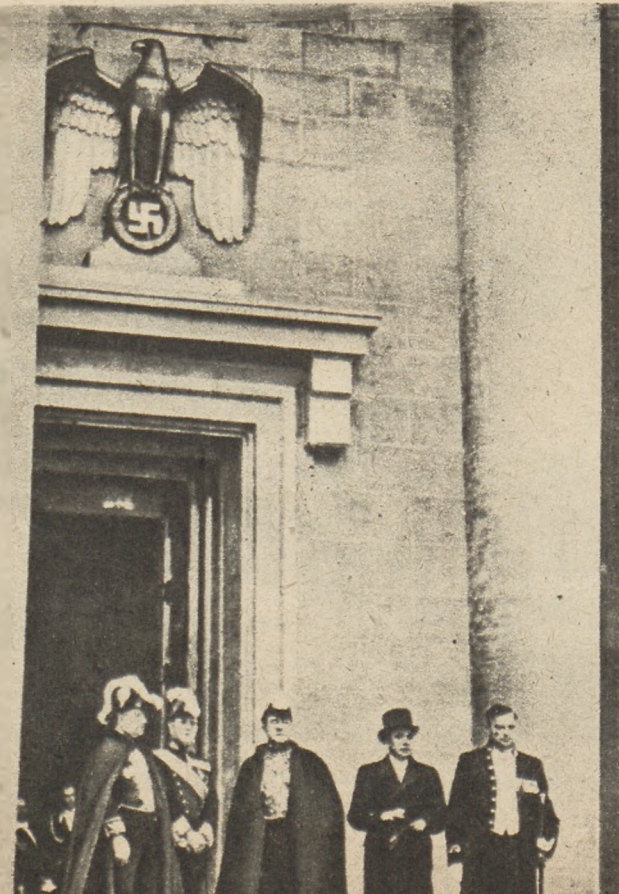
W dyskusji zabierał m. in. głos baron von Neurath — czyżby miał przecucie, że szykuje się dlań wspaniałe stanowisko „Protektora Czech i Moraw“? Przemawiający po nim baron von Fritsch zauważył, że umocnienia na granicy czechosłowacko-niemieckiej są tak silne, że mają wprost charakter „linii Maginota“ i wielce utrudnią atak. Dyskusja przeciągnęła się do godziny 9. Od tego dnia zamiary Rzeszy wobec sąsiadów, sprecyzowane tak jasno w „Mein Kampf“, weszły w stadium realizacji.

Tylko płk. Hossbach żyje sobie teraz spokojnie w Getyndze. Z innych uczestników narady — von Neurath i Raeder siedzą w więzieniu, skazani — ten pierwszy — na 15 lat, a drugi — na dożywocie. Z pozostałych — nie żyje nikt i tylko jeden — von Blomberg — zmarł śmiercią naturalną. Nie będziemy wylewać po nich łez. Musimy natomiast pamiętać, że realizacja planów tego listopadowego wieczora była wyrokiem śmierci dla 34 milionów ludzi, którzy stracili życie w II wojnie światowej. Ważne jest też to, że skoro orężne podbicie Czechosłowacji miało nastąpić poważnymi trudnościami — Rzesza dokonała tego podboju innymi drogami, a w szczególności przez dywersję w Słowacji. A w tej dywersji — wielką rolę odegrał sanacyjny rząd, współdziałający z Hitlerem w przygotowywaniu zagłady własnego narodu.

SIANO, CHLEB I WYWIAD

Sanacja nie rezygnowała z prowadzenia intrygi w Słowacji. Przy Dowództwie Okręgu Korpusu Kraków urzędował specjalny oficer do spraw dywersji w Słowacji, kpt. Pochmarski. U schyłku drugiego dziesięciolecia naszego wieku wybuchł mały skandal, kiedy ujawnione zostały szczegóły działalności polskiego wywiadu w Słowacji. Głównym „bohaterem“ tej niemilej

...Rankiem tego dnia kanclerz Hitler przyjął ambasadora Lipskiego (pierwszy od lewej), któremu oświadczył, iż stosunki polsko-niemieckie nie będą zakłócone...



dla faszystów słowackich afery był niejaki Wojciech Tuka, który szukał amatorów do przeprowadzenia jakiejś większej awantury przeciw Republice Czechosłowackiej. Chętnych nie brakło. Pewien Anglik zgodził się na prowadzenie „powstania” w Słowacji, jeżeli uprzednio... złożonych zostanie tysiąc funtów na jego koncie bankowym w Londynie. Innym reflektantem, który stanął do przetargu — był baron Wrangel, bratanek osławionego generała Piotra Wrangla — przywódca armii białych na południu Rosji w 1920 r. Wielokrotnie konferował on z Tuką proponując mu, aby brał ludzi do powstania z szeregów białogwardyjskiej emigracji rosyjskiej, wśród której — jak mówił — „nie brak doskonałych instruktorów”. Najkonkretniejsze były jed-



Agent Tuka (z opaską) przeszedł na żołąd Hitlera. Na zdjęciu — rozmowa z Ribbentropem

nak propozycje polskie. Sanacyjny wywiad nie domagał się zapłaty za tę drobną przysługę przeciw państwu, z którym Polska utrzymywała przecież normalne stosunki dyplomatyczne. Zastrzegając natomiast, iż cała akcja musi być przeprowadzona ściśle według planów, opracowanych przez Warszawę, jak oświadczył Tuce pełnomocnik polskiego wywiadu, plany te przewidywały podzielenie Słowacji na 14 tajnych okręgów organizacyjnych; Tuka zastosować się miał do tych rad i rozbudować 14 okręgowych sekretariatów według przedstawionego przez Warszawę schematu, aby pod firmą działalności politycznej przygotowywać terytorialne tajne bojówki faszystowskiej „Rodobraną”. Ciekawe, że wywiad polski nie przemycił się specjalnie przy badaniu rozmieszczenia i stanu liczbowego garnizonów armii czechosłowackiej — co przecież było podstawą do sporządzenia planu operacyjnego zamierzonego „powstania”. Po prostu studiował bacznie ogłoszenia o przetargach na dostawę siana, chleba czy mięsa dla wojska, a znając dzienne przydziały tych artykułów w armii czechosłowackiej, bez specjalnego trudu — choć bez gwarancji dokładności — ustalał potrzebne dane, które przekazywał słowackim faszystom.

MADROŚĆ DWÓCH KONSULÓW

Tuka poszedł do więzienia, kiedy sprawa się wykryła — ale na jego miejsce sanacja miała już w zanadrzu innych agentów i ani na chwilę nie zaniechano myśli o dywersji w Słowacji. „Dziś Polska jest przodującym słowianstwu mocarstwem. Pomożemy Słowakom do własnego bytu, na który w zupełności zasługują, bo udowodniliśmy już w historii, że umiemy się bezinteresownie bić nie tylko o własną wolność, ale i wolność cudzą” — pisał Tomasz Janowicz w wydanej w 1936 roku w Krakowie książce pt. „Czesi”. Nie przywiązywalibyśmy do wypowiedzi tej szczególnej wagi, gdyby nie to, iż za tym pseudonimem krył się niejaki Stański, polski konsul w Cluj (Rumunia) i że książka ta wyrażała pogląd polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pan konsul rozstrząsał przed rodakami taki obraz sytuacji: „Miliony trupów żołnierzy niemieckich mogłyby ewentualnie okupić część jakiegoś terytorium Polski, gdybyśmy przypuszczali nawet utopijnie, że niepokonane dotychczas wojsko polskie... przegra wojnę z najeżdżącą niemieckim. Rozsądek kierownika narodu niemieckiego zrozumiał jednak bezowocność, bezcelowość i ryzyko takiego wysiłku... Polska dyplomacja wykorzystując ten triumf rozsądku, umową o nieagresji ustabilizowała z Rzeszą to wyjaśnienie sytuacji i odprężenie. Jak do tej chwili, wszystko wskazuje na to, że ta stabilizacja rozwijać się będzie coraz bardziej w dobre sąsiedzkie stosunki między obu państwami. Jest łatwo zrozumiałym, że porozumienie polsko-niemieckie, usunięcie stanu zapalnego między tymi państwami było ciosem w politykę czeską, w jej dążenia do odsunięcia uwagi niemieckiej od Austrii i Sudetów”.

Jeszcze ciekawsze są wynurzenia Kazimierza Niepokójczyckiego, opublikowane w rok później w Warszawie w książce „Słowacy i Czesi”, wydanej przez „Myśl Polską”, inspirowaną przez niejakiego Bączkowskiego z II oddziału. Ciekawe dlatego, iż pod tym pseudonimem krył się skromnie niejaki Jakubski, będący konsulem w Bratysławie, czyli głównym mieście Słowacji, a więc obznajmiony najdokład-

nie z sanacyjnymi wytycznymi odnośnie tej sprawy. Zachwalał on faszystów słowackich wskazując, iż popiera ich nie tylko Warszawa — ale i Watykan.

WATYKAN — WARSZAWA

Pan konsul Jakubski odmalował przed swymi czytelnikami obraz tej osi Watykan — Warszawa. Przypomniał m. in., że faszystowski ruch w Słowacji „znajduje oparcie w osobie nuncjusza Stolicy Apostolskiej w Pradze, który — wobec wysoce niestosownego zachowania się władz czeskich — zmuszony jest opuścić Pragę”.

Pan konsul miał tu na myśli niebywały wyczyn nuncjusza Marmagiego, który 6 lipca 1925 r. opuścił Pragę,

nie pożegnawszy się nawet — wbrew zwyczajom dyplomatycznym — z ministrem spraw zagranicznych. Odjeżdżał urażony w swej dumie, gdyż Czechosłowacja odważyła się obchodzić rocznicę śmierci... Jana Husa. Mistrz Hus naraził się Watykanowi. Był bojownikiem o prawdę, a dzieje husyckie były dla całego narodu natchnieniem przez trzy wieki niewoli. Marmaggi napisał do czechosłowackiego ministra spraw zagranicznych: „Watykan uważa za obrazę obecność prezydenta Czechosłowacji i premiera rządu na uroczystościach ku czci Husa bez względu na to, czy obaj panowie uczestniczyli w obchodzie oficjalnie, czy prywatnie”. W istocie chodziło tu Watykanowi o danie — przez nagły, prowokacyjny wyjazd Marmagiego — pomocy faszystom słowackim w zbliżających się wyborach. Przywódca faszystowskiego ruchu, ks. Hlinka — ten sam, który w Warszawie konferował z Achillesem Ratti i Piłsudskim — czekał na tę pomoc ze strony Watykanu. Wyjazd miał być sygnałem do akcji „Kościół w niebezpieczeństwie” i miał zamydląć oczy bardziej nieświadomym wyborcom.

Nie od rzeczy będzie dodać, iż Marmaggi wylądował w Warszawie, gdzie go powitano z otwartymi ramionami. Przedstawiciel Watykanu rozmawiał z panem Rueckerem, zastępcą dyrektora departamentu prasy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przy ulicy Wierzbowej. Ruecker w urzędowym sprawozdaniu tak cytował pobożne westchnienia Marmagiego: „Gdy dojdzie do Anschlussu z Austrią — nastąpi koniec tego sztucznego tworu, który nazywa się Czechosłowacją. Daj Panie Boże, aby to się stało jak najszybciej”.

„Amen” do tych słów sanacyjna dyplomacja dodawała w praktyce codziennej, żmudnej pracy. Wywody dwóch konsulów RP są tylko skromnym przewodnikiem po bezdrożach sanacyjnej myśli politycznej. Jeden konsul reklamuje „triumf” dyplomacji polskiej, wysługując się Hitlerowi, drugi — zachwala słowackich faszystów, popieranych przecież przez samego Nuncjusza Apostolskiego. Obaj zgodnie szczyli na naszego południowego sąsiada. Na takich właśnie „politików” liczył Hitler przy układaniu swych zaborczych planów, tacy „geniusze” polityczni piastowali odpowiedzialne urzędy konsularne. Lektura ich bredni przypomina czytelnikowi przysłowie japońskie, które ma co prawda ponad dwa tysiące lat, ale które tak pasuje do sanacyjnych dyplomatów: „Żaby w stawie nie wiedzą nic o oceanie”.

Balszy ciąg nastąpi

Do Warszawy przybył nuncjusz Marmaggi (po prawej Mościckiego). „Gdy dojdzie do Anschlussu — powiedział — nastąpi koniec tego sztucznego tworu, który nazywa się Czechosłowacją. Daj Panie Boże, aby to stało się jak najszybciej...”



NA TEMATY LITERACKIE

MARIAN BRANDYS

I INNE

O SŁOWOTWÓRSTWIE

NAJBARDZIEJ anonimowym rodzajem twórczości jest chyba słowotwórstwo, czyli tworzenie nowych słów. Nowe słowa rodzą się, żyją, umierają — a ich twórcy z reguły pozostają nieznanymi. Wyjątki od reguły zdarzają się bardzo rzadko. Takim wyjątkiem był wierszopis i tłumacz z XVIII w., Jacek Przybylski. Przy okazji przekładów z klasyków starożytnych i średnio-wiecznych udało się Przybylskiemu stworzyć sporą ilość nowych słów polskich. Niektóre z nich, jak: pomnik (zamiast „statua”), wszechnica (zamiast „uniwersytet”) i księżnica (zamiast „biblioteka”) — trwale wzbogaciły nasz język. Ale i Przybylskiemu nie było dane zachować sławy słowotwórcy. Przesłoniła ją sława jego złych przekładów — szczególnie z „Księgi proroka Jeremiasza” — przekazana nam przez ówczesnego satyryka:

„Wicie, czemu Jeremi płakał całe życie,
Choć go nie zawsze ścigał wyrok Boży?
Eo jako prorok wiedział należycie,
Że go Przybylski na polskie przełoży”.

Los późniejszych słowotwórców był jeszcze żałośniejszy. Historia nie zachowała nawet ich nazwisk. Na przykład, kto zna dzisiaj nazwisko człowieka, który przed trzydziestu laty wymyślił zgrabne słówko „pocztówka”, zamiast dawniejszej dwuwyrazowej nazwy „kartka pocztowa”? A czy wiecie coś o słowotwórcy, który słowo „automobil” zastąpił słowem „samochód”? Powiecie, że nie był to słowotwórca, lecz zwykły tłumacz? Nic podobnego. Gdyby nie pomysłowość i wyczucie językowe tego wynalazcy — dziś, zamiast samochodami, jeździlibyśmy jakimiś samoruchami. Więc nie można jego zasług lekceważyć. Co innego: twórca słowa



Rys. A. Perzuck

„samolot”. Ten nie głowił się nad spolszczeniem słowa „aeroplan”, lecz poszedł drogą uitorowaną już przez twórcę samochodu.

A teraz przyjrzyjmy się nowotworom najmłodszemu. O! choćby takie nieszczęsne słowo jak „bikiniarz”. Urodziło się to zaledwie przed paru laty, a już słowo całą gębą. Panoszy się we wszystkich rozmowach i gazetach, weszło nawet do literatury. Słowo to zrodziło się w naszych oczach i genezę jego powstania pamiętamy wszyscy. 1 lipca 1946 roku na wyspie koralowej Bikini Amerykanie urządzili próbę bomby atomowej. Następnie, aby zastraszyć nas do reszty, w całej Ameryce zaczęto nosić krawaty i marynarki „a la Bikini”. Później te ciuchy przywędrowały do nas w amerykańskich paczkach. Tu jednak nie się urywa. Kto w Polsce po raz pierwszy użył słowa „bikiniarz” — tego już nie wie nikt. (Dla porządku notuję, iż znany literat Stanisław Dygat zapewniał mnie niedawno, że to właśnie on był ojcem chrzestnym bikiniarstwa, lecz nie potrafił przedstawić mi na to żadnych dowodów).

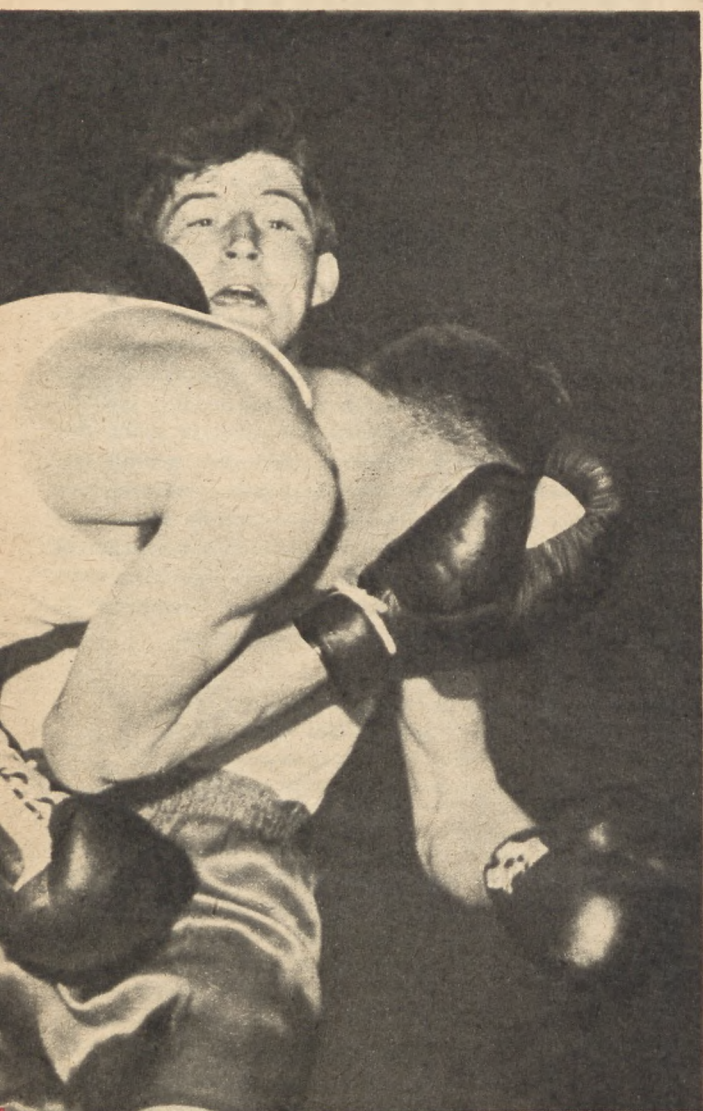
Ala mniejsza z tym, kto wymyślił słowo „bikiniarz”. Wolalbym raczej wiedzieć, kto to niefortunne pojęcie raz na zawsze wyruguje z naszego języka i życia.

Natomiast ogromnie chciałbym poznać anonimowego twórcę słowa „plenum” (liczba mnoga od słowa „plenum”). Chciałbym go poznać, aby móc mu powiedzieć co następuje: Drogi towarzyszu, nie wolno oszpecać naszej pięknej mowy. Mówi się nie „plenum”, lecz „plena”. Ponieważ zaś deklinacja łacińskiej końcówki jest dość nieporęczna — najlepiej mówić tak, jak napisano w Statucie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej: posiedzenia plenarne. Wtedy z deklinacją nie będzie żadnego kłopotu.

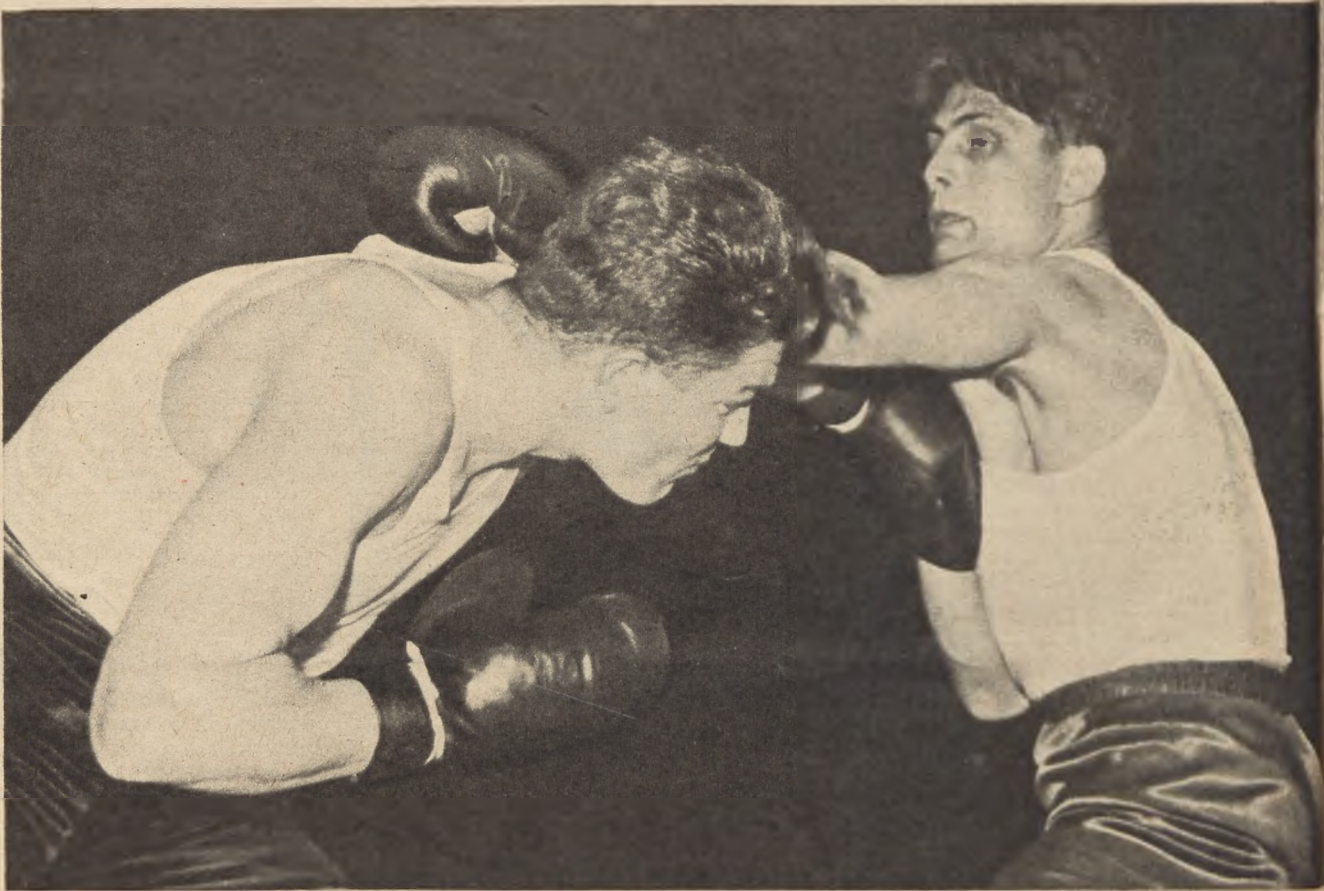
Tyle na temat słowotwórstwa.

NIETRUDNY EG

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI



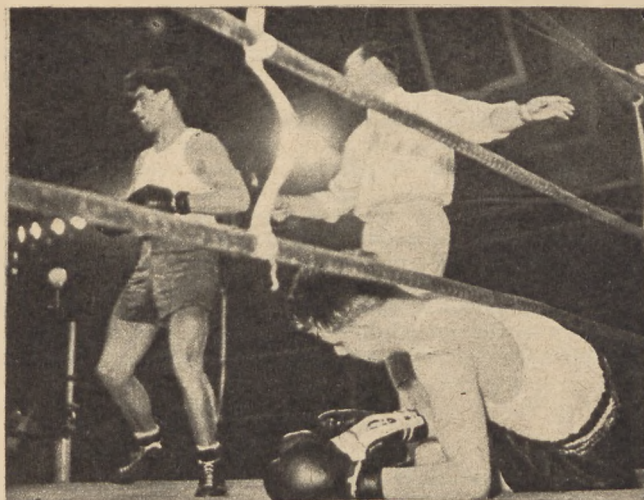
Ten atak Niedźwiedzkiego wyglądał na pozór groźnie, lecz... tylko na pozór, bo Polak na próżno starał się przejść przez gardę Dumonta. Była to jedyna walka, której wynik był wątpliwy. Niedźwiedzki wygrał stosunkiem 2:1. Przeciw tej decyzji głosował sędzia neutralny Giraldi (Włochy).



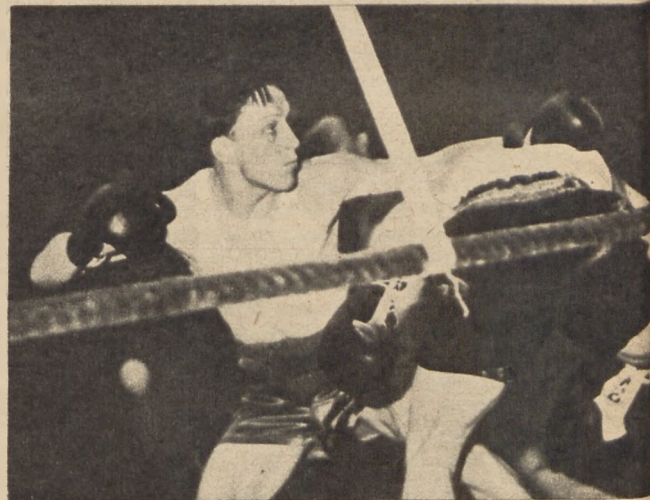
Walka w wadze ciężkiej pomiędzy Carpentier a Węgrzyniakiem dostarczyła wiele emocji. Belg niespodziewanie okazał się niebezpiecznym rywalem. Często w pochylonej postawie czaił się, a później wypuszczał cios z lewej, chcąc dosięgnąć szczęki Polaka. Węgrzyniak starał się likwidować ataki lewymi prostymi, co nie zawsze mu się udawało. Dopiero w drugiej połowie walki Węgrzyniak posłuchał dobrych rad Feliksa Sztama i zaczął kontrować „hakami”. Dzięki tym celnym „hakom” szalę zwycięstwa przechylił na swoją stronę. Była to ostatnia walka i mecz wygraliśmy w stosunku 13:2.



Janusz Kasperczak wyłowił dogodny moment. Błyskawicznie doskakuje do Kiekensa i bije z obu rąk. Ciosy jego wkrótce zamieniły się w serię uderzeń. Kiekens z trudem przetrzymał tę nawałnicę. Wprawdzie w trzeciej rundzie Kasperczak nieco osłabł, lecz walkę wygrał bezapelacyjnie.



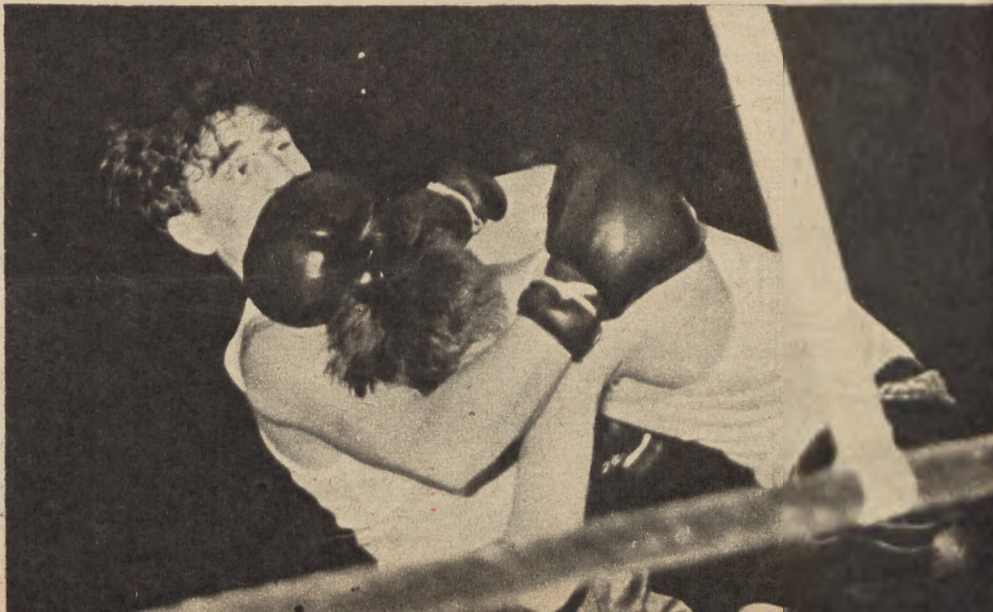
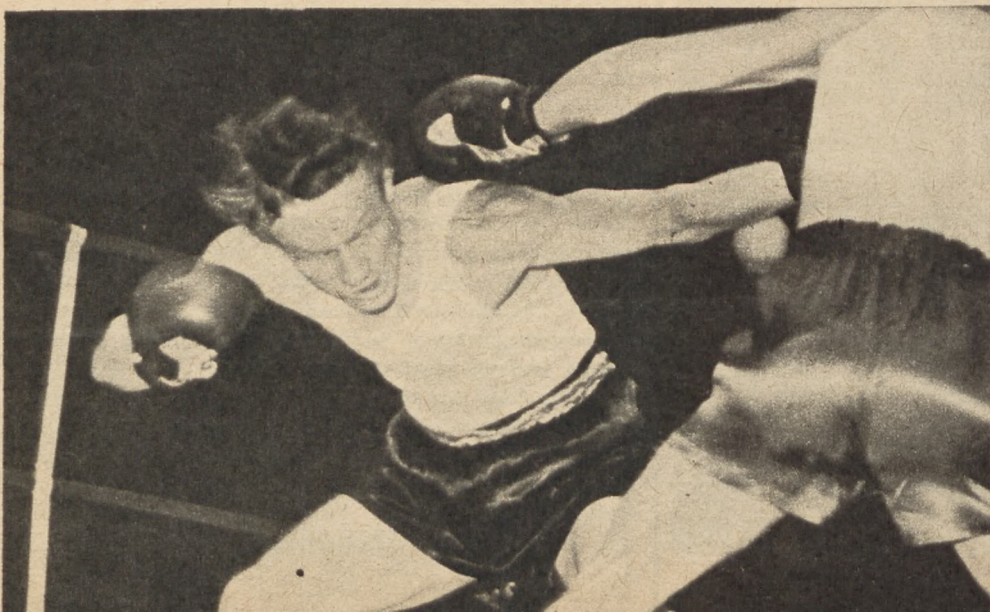
Tak zakończyła się walka pomiędzy Grzelakiem a Laurent: Belg po potężnym prawym sierpie powędrował w drugim starciu na deski. Wprawdzie powstał zaraz, lecz podniósł rękę na znak poddania i chwiejnym krokiem pomaszerował do swego rogu. Grzelak górował od początku gongu.



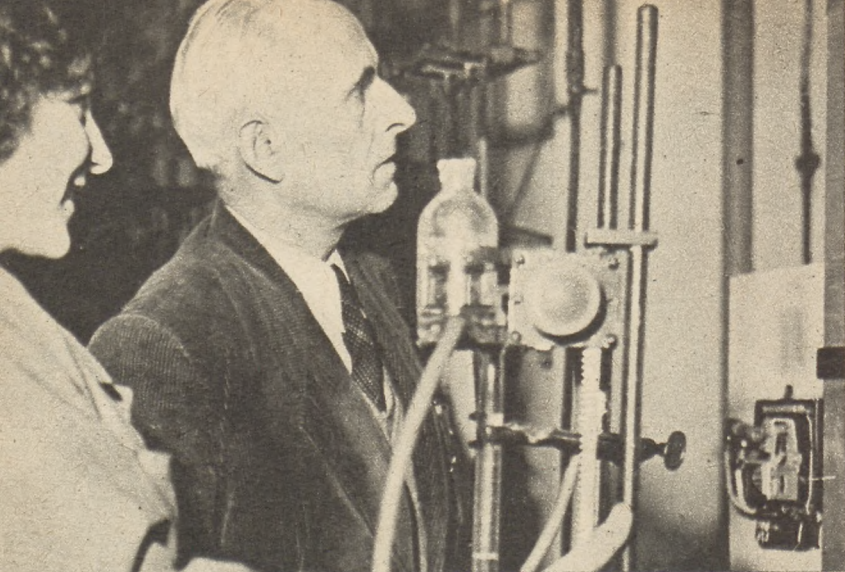
Kukier początkowo miał wiele kłopotów z ambitym i bojowym Dekkersem. Belg — niezły technik — stawiał zaciekły opór, starając się walczyć na dystans. Dopiero w trzeciej rundzie Kukier przedostaje się na półdystans i potężnymi „hakami” osłabia rywala, wygrywając walkę.

Na tym zdjęciu widzimy przeciwnika Leszka Drogosza — Gabina. Jak widać, Belg znalazł się pod ostrzałem ciosów i stracił zupełnie głowę. Przez pierwszą rundę był tak zdezorientowany, iż nie potrafił wyprowadzić ani jednego ciosu. Nie była to właściwie walka, lecz lekka boks, której udzielił Drogosz swemu rywalowi. Wdrugiej rundzie Leszek tak osłabił Gabina, że sędzi: ringowy przerwał wreszcie tę nierówną walkę.

Nasz fotoreporter uchwycił interesujący moment, jak nie należy walczyć: Roger zaatakował głową wysuniętą zbyt daleko ku przodowi. Kruża, aby nie stracić równowagi, objął przeciwnika. A w ogóle była to walka bardzo zażarta. Szybki Belg dużo atakował, lecz ostatnie słowo zawsze należało do Kruży. Chwilami zdawało nam się, że Polak jakby nieco oszczędzał młodszego kolegę. Ostatecznie wygrał Kruża stosunkiem punktów 2:1.



Bo oto co jest najbardziej pocieszające w wypadku Chromika: prawidłowość rozwoju. Nie ma tu ani zastójów, ani wahań, ani nawet oszołamiających skoków w przód, jak np. w wypadku Sidiy Widad, ze Chromik jest w dobrych rękach. Jeśli będzie się tak roz-
wijał około 6 lat (to znaczy a: dożdzie wieku, w którym dwojgo-
stanowiec osiąga życiową formę) — przyporządkujmy nam niejednego
międzynarodowego sukcesu. Jesteśmy ich bowiem, przynajmniej sie-
porządnie spragnieni. A na razie za pierusę sukces — drugie
miejace w diegu „Humanite“ — dzięki.



Bez przerwy trwają intensywne prace w Instytucie Badawczym Zakładów Oświęcimskich. Dyrektor Instytutu kontroluje pracę laborantki



Pełne bezpieczeństwo pracy — to reguła we wszystkich naszych fabrykach, szczególnie zaś — chemicznych. Młode pracownice Instytutu przy przetwarzaniu butli z chlorem używają masek

BENZYNĄ

N A P I S A Ł:
JERZY JANICKI

6)

ZAGŁADANO do odstożników. Przez nieduże okienko widać było, jak woda oddziela się od oleju. Tu zupełnie jak w porzekadle: olej zawsze na wierzch wypłył! Woda na dno — olej na górze. Wszystko w zasadzie szło sprawnie. Ale kurki wciąż były suche. Na absorpcji węglowej, gdzie aktywny węgiel absorbuje benzynę i gazol, też wszystko zapowiadało się pomyślnie. Ale kurki — puste!

Starano się nawzajem uspokoić: katalizator wszak musi się nasycić produktem w piecu. On sam zatrzymuje na sobie parę ton produktu. On tylko pomaga w produkcji. Jest jak murarz: układa cegły, ale przecież nie pozostaje częścią składową muru. Bzdura!

Z pieca szedł gaz w górę i nad separatorem skraplał się. Obserwowano jego dzieje. Zbadano: synekondensor. To już półprodukt dla benzyny, olei dieslowskich i parafiny. A reszta?

Czekanie jest nużące. Można się zdenerwować czekając nawet na narzeczoną, jeżeli się spóźnia. Cóż tu mówić o katalizatorze!

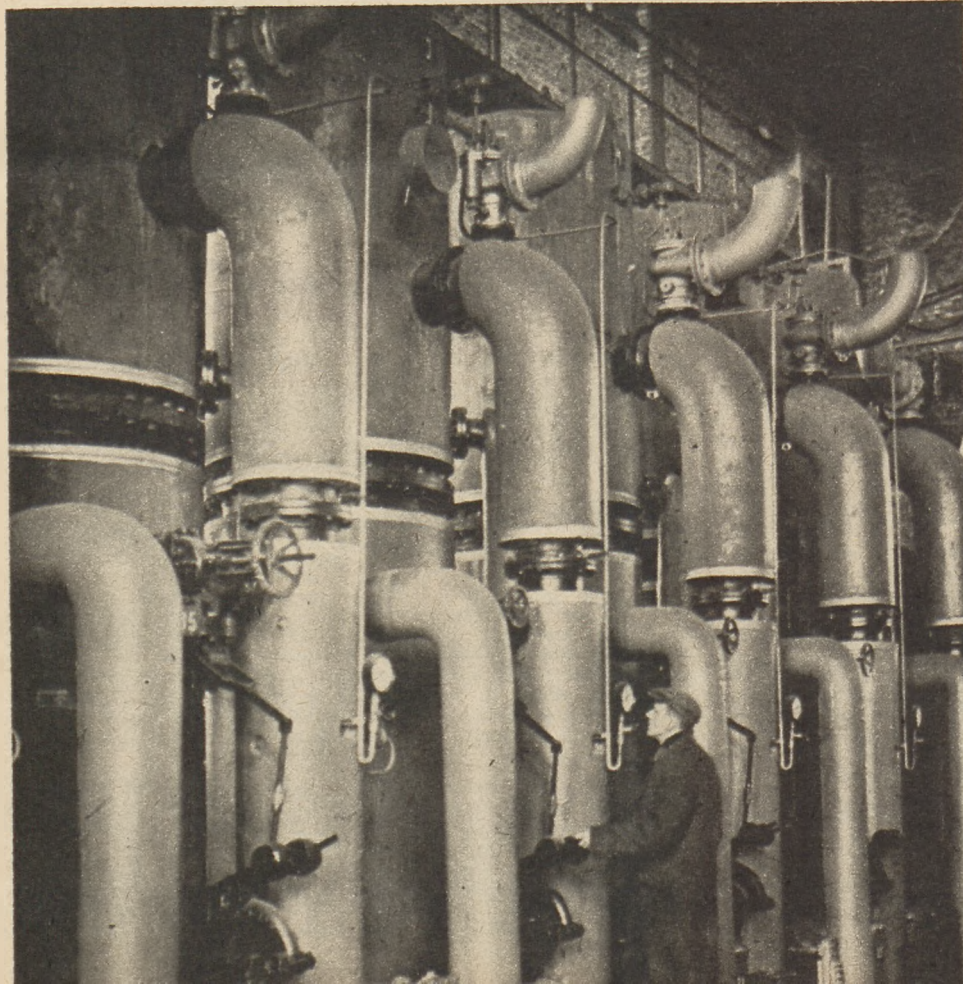
Nagle siódmego dnia kurek zachłystnął się, zakrzuszył i chlusnął z siebie ciecz. Pachniała i mieniła się w świetle.

3.

CIESZMY SIĘ WSZYSCY!

Była wtedy wiosna. Pachniał bez i wilgotna ziemia, nieśmiała trawa i paki na drzewach, niewiększe od kropli. A w Dworach najpiękniej pachniała wtedy

Tej wiosny mijają cztery lata od czasu, gdy w Dworach pociekła syntyna. Odtąd w tej hali, przedstawionej na zdjęciu, co dzień sprawdza się ilość wyprodukowanej cieczy



syntyna. Ciekła zwycięsko, radośnie pluskającym strumieniem. Było to jedno z pierwszych zwycięstw polskiej chemii, dawniej małej, ubogiej — dziś pasowanej przez Plan do rangi drugiej po węglu narodowej gałęzi gospodarczej polskiego przemysłu.

— Cieknie! Cieknie! — wołano wtedy radośnie w Dworach, i wieść tę wystukiwały dalekopisy do Warszawy.

Gra była wygrana!

Inżynier Taban mianowany został wiceministrem Przemysłu Chemicznego, Emil Połaczarz — kierownikiem wytwórni syntyny. Jak po wygranej bitwie rozdzielano wyższe rangi najbardziej w boju walecznym.

4.

PRZY ULICY ŁOMONOSOWA

To była wiosna. Poza tym to było prawie cztery lata temu. Dziś nikt nie pozna Dworów. Gdzie podziało się pobożowisko? Gdzie są te rozprute kotły, pordzewiałe kolektory, płatanina rur i blach?

Przy głównym trakcie, ciągnącym się od bramy wejściowej, stoi najeżona kilkoma kominami wytwórnia. Tu produkuje się karbid. Jeden z kominów bucha płomieniem. W dzień i w nocy. Jak czerwona chorągiew. Wytwórnia tętni życiem.

Jest jeszcze wytwórnia „Tri“, wytwórnia fenolu, kwasu octowego i inne. Ale największa — to wytwórnia syntyny.

Na jej czele — Emil Połaczarz.

Inżynier Kaczorowski, dawny kierownik Syntezy, ślęczy teraz nad planami nowej wytwórni. Syntyny. Co, jeszcze jednej?

Wytwórnia syntyny, którą obecnie projektuje się pod kierunkiem inż. Kaczorowskiego, będzie czterokrotnie większa od obecnej. Nowość jej polegać będzie na tym, że reakcję przyspieszać będzie katalizator bardzo praktyczny i oszczędny: katalizator żelazny.

Kaczorowski jest otoczony fachową literaturą. W domu i w biurze. Wynika z niej, że Stany Zjednoczone wybudowały w Texas i Baton Rouge dwie fabryki benzyny na katalizatorze żelaznym. Potem musiano je rozobrać: katalizator nie działał.

Kaczorowski czyta to i uśmiecha się. Pomyśleć, że parę lat temu dostał dyplom i może w ogóle nie znał prawdziwego zapachu benzyny. Dziś śmieje się z cudzej niezaradności. A przecież tam ponoć chemicy nie byle jacy. Ale śmieje się: zwycięsko pokonane trudności hartują. Poza tym w lutym wy-

jeżdża do Związku Radzieckiego. Jędzie zapoznać się z doświadczeniami radzieckich chemików. Dlatego jego ismiejch ma w sobie niezłomną pewność:

— My na pewno będziemy mieli syntynę na katalizatorze żelaznym.

* * *

W Instytucie Naukowym w Dworach ludzie jak dawniej nie odstępują próbowek. Przybyło wielu nowych naukowców. Magister Mitoraj w Instytucie już prawie zapomniał o żmudnych poszukiwaniach syntyny. To dawno. Teraz — kauczuk. Teraz — masy plastyczne.

To nie mniej ważne od syntyny. Masy plastyczne pokrywają deficyt kolorowych metali, z półproduktów przy wyrobie kauczuku otrzymamy fenol dla wzmocnienia włókien syntetycznych, chlor. Oświęcim otwiera chemii nową drogę.

W Planie Sześcioletnim produkcja polskiego przemysłu chemicznego wzrośnie 7 i pół raza w stosunku do roku 1938. Dwory mają w tym dumnym rachunku poważny swój udział.

Blisko kombinatu rozciągają się Dwory. Już nie wieś. Wielkie bloki mieszkalne, nowoczesnie urządzone sklepy, hotele robotnicze. Gęsta sieć ulic. Ulice mają swoje nazwy: Mendelejewa, Łomonosowa, Ignacego Łukasiewicza.

Wielcy chemicy patronują ulicom miasteczka polskiej chemii.

Kiedy zapadnie zmrok, traktem od kombinatu ciągną jeden za drugim rowerzyści. To nie wyścig. To wracają do domów w nowym osiedlu robotnicy Kombinatu w Dworach. Czy myślą o tym, że już niedługo jeździć będą na dętkach i oponach, które sami u siebie wyprodukują? Nie wiem, czy o tym akurat teraz myślą, ale tak właśnie będzie.

Wielu z nich mieszka przy ulicy Łomonosowa. Wiedzą, że to genialny rosyjski uczony. Czy wiedzą, że w jednym ze swych odczytów pod koniec XVIII wieku Łomonosow powiedział: „Ręce chemii sięgają daleko w sprawy ludzi“? Może tego nie wiedzą, ale tak właśnie jest.

Historię życia Emila Połaczarza poznaliśmy dobrze. On wcale nie jest wyjątkiem. Kierownikiem wytwórni fenolu jest Sieniawski — syn chłopca z rzeszowskiego. Przy budującej się wytwórni kauczuku pracuje inżynier Szemraj. Dziesięć lat temu był na wsi parobkiem. Powiecie, to nie chemia, to nowy, sprawiedliwy ustrój „daleko sięgnął“ w ich sprawy.

To oczywiście prawda: mogli się uczyć, zdobywać zawód. A teraz budują nasz nowy, wielki przemysł chemiczny. To również dzięki niemu Polska umacnia swą siłę gospodarczą, wychodzi z ostatniego na piąte miejsce wśród krajów Europy, podnosi u siebie dobrobyt.

Tak, tak, „daleko sięga chemia w sprawy ludzi“...

Warszawa, styczeń 1954 r.

KOBIET

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

PRZED ZJAZDEM FOTOKORESPONDENTÓW

Czy fotokorespondencje to są tylko ciekawostki? Czy raczej małe reportaże? A może felietony? Jak zdobyć materiały fotograficzne? I w jakim stopniu redakcja będzie mogła pomóc w przełamywaniu najtrudniejszych trudności, z którymi spotykają się fotokorespondenci w terenie.

Warszawska narada fotokorespondentów „Świata” zaczęła się od pytań, ale później dyskusja przeszła na takie zagadnienia, jak tematyka fotokorespondencji i ich oddziaływanie na czytelników, jak sprawa korespondencji krytycznych

Dyskusja była żywa, przyniosła też wiele materiału na zjazd ogólnokrajowy, który odbędzie się w kwietniu.

Na zjeździe tym, poza referatem opracowanym przez redakcję, wygłoszony będzie również referat opracowany przez mjr. Czabańskiego, jednego z najstarszych fotokorespondentów „ŚWIATA”.

Przy sposobności zawiadamy naszych współpracowników, że dalszych narad okręgowych organizować już nie będziemy. Zaproszenia na zjazd krajowy, który odbędzie się w Warszawie, redakcja wyśle w pierwszych dniach kwietnia.



Z warszawskiej narady fotokorespondentów „Świata”

ZE WSI — NA SCENĘ OPERY

— Będę śpiewał w radio — mówił Włodek Waczerz krewnym i znajomym z rodzinnej wsi, chociaż ci z powątpiewaniem kiwali głowami.

Syn matorolnego chłopca marzył jednak o scenie operowej. I marzenie jego spełniło się. Podczas egzaminu wstępnego do Wyższej Szkoły Operowej w Poznaniu Waczerz po raz pierwszy śpiewał na scenie opery. Co prawda przy pustej prawie widowni, na której tylko kilka krzeseł zajęli pedagodzy, ale wykonana przez niego aria Jontka z „Halki” zapowiadała, że nieza długo powróci na tę salę już jako śpiewak.

Tak się też stało. W rok póź-

niej, gdy odbywał się coroczny popis operowy młodych solistów, Włodzisław Waczerz z Kiełczyńska (pow. opatowski) śpiewał w operze „Flis” Moniuszki. Potem przyszedł coraz liczniejszy występ na koncertach. Dziś Włodzisław Waczerz przygotowuje się do roli Petrilla w operze Mozarta „Uproszczanie z Seraju”.

Marzenia młodego tenora z opatowskiej wsi, podobnie jak i wielu tysięcy młodzieży, w pełni się urzeczywistniły: kształcił swe zdolności, rozwija talent, będzie pracował w ukochanym zawodzie.

Z. T., Poznań



Włodzisław Waczerz śpiewa na lekcji pieśni Chopina

PRZODUJĄCY ŁADOWACZ



Ładowacz Ryszard Pyrkosz przy pracy.

Jednym z czołowych przodowników pracy w hucie im. Bolesława Bieruta w Częstochowie jest ładowacz Ryszard Pyrkosz, który na dwa lata przed terminem zrealizował zadania przypadające na niego w Planie 6-letnim i obecnie pracuje już na poczet następnej 5-letki.

Za wybitne osiągnięcia we współzawodnictwie Ryszard Pyrkosz odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi i Gwiazdą Przodownika Pracy. Ponadto przodujący ładowacz otrzymał piękne mieszkanie w nowych blokach i kilka cennych nagród.

K. Flakowicz, Częstochowa

Z SZYBKością 130 KILOMETRÓW NA GODZINĘ

W r. 1947 Zrzeszenie Sportowe „Związkowiec” w Karpaczu doprowadziło do stanu używalności jedyny w Polsce sztuczny tor lodowy długości 1.560 m o ośmiu krzywiznach.

Od tej pory zainteresowanie nie uprawianym dotychczas w Polsce odcinkiem sportu, bobslejem, wzrasta z

roku na rok. Masy publiczności, szczególnie spośród wczasowiczów, chętnie odwiedzają urządzone zawody.

W roku bieżącym na zakończenie sezonu zimowego w Karpaczu odbyły się Bobsleje Mistrzostwa Polski, w których wzięło udział 150

najlepszych zawodników ośmiu zrzeszeń sportowych.

Mistrzem Polski została drużyna Stefana Ciapały z Z. S. „Spójnia” — Nowy Sącz. Uzyskała ona czas 1.04.2 min. ustanawiając nowy rekord toru.

Sukces ten świadczy o poważnym postępie naszych zawodników w tej dziedzinie sportu, a dodać należy, że wymaga ona od zawodników wiele uwagi, bystrości umysłu i opanowania, szybkość na torze dochodzi bowiem do 130 km na godzinę.

E. Przybylski, Karpacz



Najmłodsza załoga Z. S. „Budowlani”

DLA NAJMŁODSZYCH...

Częstochowska placówka Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego może się poszczycić poważnymi osiągnięciami w dziedzinie racjonalnego wykorzystywania odpadów użytkowych.

Piękne wyroby częstochowskiej CPLA znane są nie tylko w kraju, ale i za granicą, wyróżniają się bowiem estetycznym wyglądem, prostą konstrukcją, a co najważniejsze, są mocne i trwałe.

Ostatnio opracowany został nowy typ zabawki, kombajn o napędzie sprężynowym. Projektantem kombajnu jest kierownik techniczny Szejko-wicz.

Prócz tego „kombajnu” częstochowska CPLA wypuści w najbliższym czasie nowe asortymenty zabawek, jak samochodziki z maszyną pływającą, a na napędzie sprężynowym i inne.

K. F., Częstochowa

PATENT NR 36969

Karol Adamczyk, inspektor Instytutu Mechanizacji Górnictwa w Stalinogrodzie, w czasie swej długoletniej pracy uruchomił już wiele maszyn w kopalniach Górnego i Dolnego Śląska.

Ob. Adamczyk zastanawiał się ostatnio nad tym, jakby ułatwić pracę górnikom w pokładach niskich i o dużym upadzie, gdzie nie można zastosować nowoczesnych maszyn górniczych, a rękawce zmuszeni są posługiwać się tylko prymitywnym młotkiem mechanicznym.

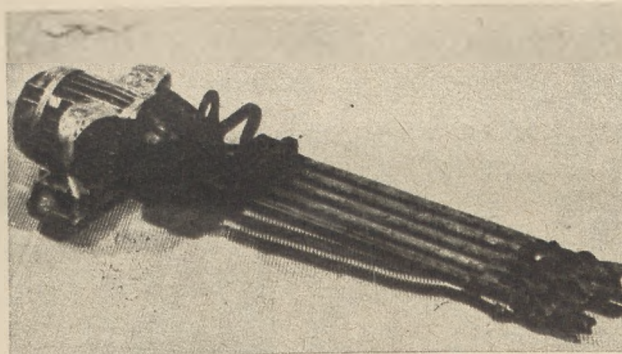
Po wielu próbach ob. Adamczyk zaprojektował nowy typ maszyny do urabiania węgla, dostosowanej do takich wła-

Urząd Patentowy uznał zgłoszoną jako projekt racjonalizatorski wrębiarkę za wynalazek i udzielił autorowi patentu Nr 36969.

Przy poparciu Dyrekcji Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Wałbrzychu został wybudowany model tej maszyny i przeprowadzone próby w kopalni „Bolesław Chrobry”, które przyniosły pomyślne rezultaty.

Górnicy Teodor Kaczmarek i Józef Różycki pracując nową wrębiarką w powierzchni uzyskali średnio o 100% większy postęp niż przy pomocy młotka mechanicznego.

Wielokrotny przodownik pracy, znany górnik dolno-



Ręczna wrębiarka pomysłu Karola Adamczyka

nie niekorzystnych warunków.

Nowa maszyna zwana ręczną wrębiarką jest prosta w konstrukcji i w działaniu, a waga jej wynosi zaledwie 13 kg. Wykonuje ona wręb długości 25 cm, szerokości 4 cm i głębokości 50 cm za pomocą 5 prostolinijnie osadzonych wiertel.

śląski Józef Ciszak, kierownik oddziału wydobywczego, w którym ta maszyna pracuje, oświadczył: „Ręczna wrębiarka w poważnym stopniu ułatwia pracę górnikom i podnosi jego wydajność”.

Adam Kopczyński, Szczawno Zdrój

USZLACHTNIAJĄCA WODA

W Dusznikach Zdroju znajduje się zabytkowy drewniany dom w stylu barokowym, pozostałość po tamtejszej papierni, założonej w XVII wieku.

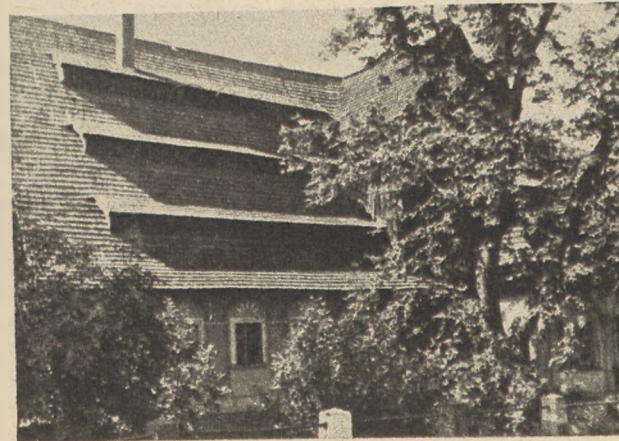
Założyciel papierni, Jerzy Kretschmer, odkrył, że woda płynąca z dusznickich źródeł wywiera dodatni wpływ na jakość papieru. Sprowadził więc Kretschmer z Holandii maszyny i zaczął produkować papier czerpany, który prze-

wyższaj jakością słynny papier holenderski.

Tajemnica powodzenia, jak się okazało, tkwiła w działaniu wody dusznickiej, nadającej produktowi odporność i trwałość.

Obecnie Wojewódzki Wydział Kultury we Wrocławiu prowadzi prace rekonstrukcyjne nad historyczną papiernią.

L. Małowski, Polanica



Zabytkowa papiernia.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

NIE MOŻNA TEGO TOLEROWAĆ

Nasi Czytelnicy - fotoamatorzy stale uskarżają się na braki filmów i papierów. Na czym mamy fotografować — pytają; na czym wykonać powiększenia, zwłaszcza większych rozmiarów, wymaganych na konkursach i wystawach, dostępnych dla wszystkich fotografujących?

Istotną przyczyną tych braków stanowią trudności surowcowe i produkcyjne, zapewne tylko przejściowe. Jednak jak najszybciej trudności te należy przełamać, gdyż spopularyzowanie sztuki fotograficznej może być zrealizowane tylko przy dobrym zaopatrzeniu rynku w sprzęt i materiały fotograficzne. Pierwsza seria lustrzanek „Start I”, pierwszego polskiego aparatu fotograficznego, ukaże się dopiero w połowie tego roku. A sam aparat nie wystarczy — potrzeba jeszcze filmów, powiększalników na rozmiar 6 x 6 cm, papierów i chemikali.

Apetyt wzrasta przy jedzeniu. W miarę upowszechniania fotografii przyjdzie kolej na inne akcesoria: lampy wszelkiego rodzaju, filtry, statywy, soczewki, przeróżne mniej i więcej finezyjne dodatki, papiery o specjalnych powierzchniach, specjalne kąpiele chemiczne. Lista stosowanych i potrzebnych w pracy fotografa przyrządów, chemikali, rodzajów materiałów negatywowych i pozytywowych jest bardzo długa.

Trzeba być wyrozumiałym na chwilowe braki zaopatrzeniowe, ale nie wolno być wyrozumiałym na tolerowanie braków i lekceważenie klientów przez centrale handlowe i zarządy wytwórni foto-chemicznych. A wypadki nieuwzględnienia odpowiedzi i odszkodowania nabywców filmów, papierów i chemikali są niestety nader częste i zniechęcają do fotografowania, a nawet prowadzą do całkowitego zerwania z fotografią przez wielu początkowo zapalonych fotoamatorów.

Nasz Czytelnik, z Łowicza (Lwówek Sl.) przysłał nam odpis reklamacji, złożonej w maju ub. roku, oraz odcinek wywołanego filmu 35 mm. Na negatywie widać wyraźnie „czarne jodełki”, stanowiące wadę produkcyjną, powstałą wskutek wyładowań elektrycznych przy manipulacjach wstęgą celulozową w hali fabrycznej o powietrzu niedostatecznie nasyconym wilgocią. Czytelnik nasz otrzymał wyjaśnienie, iż jest to wada fabryczna, która została już opanowana. W sierpniu ub. roku nabył we Lwówku kilka rolek filmu i znowu te same smugi — błyskawice. Złożył ponownie reklamację we wrześniu i po dziś dzień odpowiedź ani zwrotu kosztów nie otrzymał.

Znamy przypadki jeszcze bardziej lekceważącego traktowania reklamacji. Fotograf zawodowy z miejscowości podwarszawskiej, w okresie wykonywania masowych zdjęć do dowodów osobistych w początkach roku 1952, nabył w Centr. Domu Towarowym w Warszawie wywoływacz drobnoziarnisty wyrobiony przez wytwórnię „Foto-Chemia” w Bydgoszczy. Wywoływacz ten, wskutek złego składu chemicznego, zniszczył mu bezpowrotnie 4 roleki filmu małoobrazkowego, czyli ok. 150 zdjęć klientów, którzy ponownie musieli przejść do sfotografowania. Reklamacja i żądanie odszkodowania, złożone w kwietniu 1952 r. w dziale fotograficznym CDT, pozostały całkowicie przemilczane, aczkolwiek ówczesna kierowniczka działu w rozmowach potwierdziła słuszność pretensji, dodając, iż już wielu nabywców wywoływacza „Foto-Chemia” zgłosiło swe pretensje i że przeciw tej firmie prowadzone jest dochodzenie sądowe o dawanie składników nie tylko nieodpowiednich, lecz szkodliwych dla zdrowia ludzkiego.

Inny nasz Czytelnik posiada dowód przyjęcia reklamacji przez dział fotograficzny CDT w Warszawie w dn. 6 maja 1953 r. Znany też jest przypadek zwrotu paczki zaszarzałego papieru bromowego w zlikwidowanym już sklepie MHD przy ul. Rutkowskiego, róg Szpitalnej. Obie reklamacje po dziś dzień pozostały bez odpowiedzi. Takich przykładów można by przytoczyć niestety bardzo wiele.

Tego zjawiska nie powinniśmy tolerować.

Pasja WIELKIEGO

„CHARLOT”

TOMMASO CHIARETTI

Zdjęcia: FRANCO PINNA



Tego dnia wieczorem Chaplin udał się do cyrku. Cyrk jest od dawna jego wielką pasją. W napięciu obserwował akrobatów...



...z podziwem przyglądał się tresurze zwierząt; sprawiał wrażenie dziecka, któremu pokazano niezwykle przedstawienie...

...wybuchnął śmiechem, gdy na arenę wbiegli clowni w cudacznych kostiumach: bawił się lepiej niż inni widzowie...



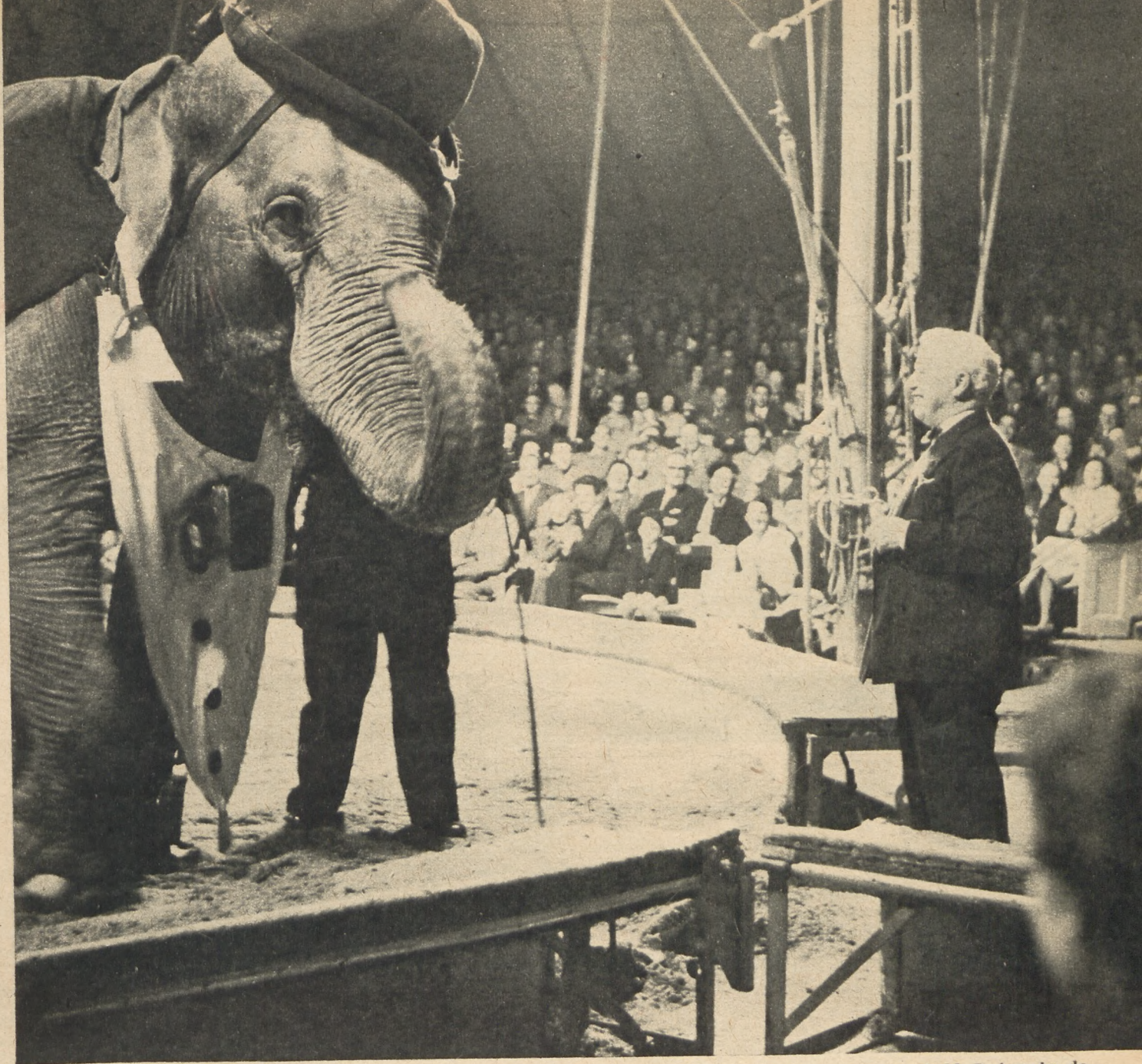


FOTOREPORTAŻ

WŁASNY

ZE SZWAJCARI

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY „ŚWIAT”



W trakcie przedstawienia prawdziwa niespodzianka: „uczony” słoń zaprosił go na arenę, aby złożyć mu hold. Być może, doceniał zasługi twórcy wspaniałego filmu „Cyrk”. Wszak Chaplin w latach młodości sam pewien czas występował na arenie

ZANIM jeszcze dotarliśmy do Corsier, małej wioski szwajcarskiej, gdzie zamieszkał Charlie Chaplin, słyszeliśmy wokoło rozmowy o „Charlot”, człowieku, który potrafi rozśmieszać i doprowadzać do płaczu ludzi na całym świecie. Na niewielkiej końcówce stacji ujrzeliśmy rozklejony na ścianach plakat reklamowy; przedstawiał tak dobrze znaną sylwetkę włóczęgi w meloniku, w wykrzywionych butach, z bambusową laseczką w ręku. Była to reklama nie pamiętam już jakiej fabryki butów.

A więc użyto także i tego sposobu, aby wykorzystać dla własnych celów sławę człowieka, którego wszyscy znają, o którym wszyscy mówią!

Do willi Chaplina jest spory kawał drogi, ale każdy potrafi wskazać ulicę; nawet czarno ubrane staruszki wiedzą, gdzie mieszka pan Chaplin z rodziną. Na drzwiach willi wisi kartka „własność prywatna”, ale ludzie udają, że jej nie widzą, starają się chociaż raz rzucić okiem do wnętrza. Chaplin żywi pewnego rodzaju wstręt do niedyskretnych, do intruzów siłą wdzierających się w jego życie prywatne. Po tylu latach pobytu w Ameryce, po tylu latach walki z „amerykanizmem” nabrał jawnej niechęci do tak ulubionych w USA form popularyzowania życia prywatnego „gwiazd” i „gwiazdorów” ekranu — do fotografowania ich wечно uśmiechniętych bądź też upożowanych podczas rzekomych zajęć gospodarskich, na przykład w kuchni. Chaplin nie znosi tych wszystkich karmelkowych, sztucznych trójków, zacierających prawdziwe rysy postaci. Nigdy nie zezwalał na fotografowanie go w takich nienaturalnych pozach. Wszyscy dobrze wiedzą, że nie uchylał się od obowiązków społecznych, chciał jednak, aby pozostawiono w spokoju jego życie prywatne, jego dzieci, jego rodzinę.

Nie lubi też publicznego rozstrząsania swych filmowych projektów; stara się pracować bez rozgłosu, a gdy gotowy już film dostaje się pod sąd opinii publicznej i fachowej krytyki — on sam zachowuje się tak lekko, jak gdyby był debiutantem. Ale skoro opuszcza już swoją willę i miesza się z tłumem, nie ucieka przed reporterami, pozwala robić zdjęcia, nie pozuje jednak i nie godzi się na żadne fotograficzne triki.

Tego dnia wieczorem udał się do cyrku. Cyrk jest od dawna jego wielką pasją. Siedział w łóżu ze swymi córkami, śmiał się i wzruszał jak każdy inny widz. Być może, jego reakcje były nawet bardziej młodzieńcze, bardziej żywiołowe niż u innych. Sprawił wrażenie dziecka, które przyszło obejrzeć niezwykle, fantastyczne przedstawienie; z wielkim napięciem obserwował tresaż dzikich zwierząt, zaciskał ręce, gdy akrobaci wirowali na trapezach, wybuchał śmiechem, gdy na arenę wkroczyli clowni w cudacznych kostiumach.

Jego stara miłość do cyrku nikogo nie może dziwić. Chaplin sam siebie nazywa „synem sztuki”. Jest filmowcem, zaś jego rodzice byli aktorami w angielskim music-hallu, w tym samym właśnie, w którym rozgrywa się ak-

cja filmu „Światła rampy”. Będąc jeszcze młodzieńcem Chaplin zaangażował się do cyrku i prawdopodobnie zostałby clownem, akrobatą czy ekwilibristą, gdyby nie uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. To właśnie zdarzenie skłoniło go do obrania innej drogi życiowej. Z cyrku wyniósł jednak doświadczenia, które przybrały później realne kształty w najpiękniejszym jego filmie pt. „Cyrk”. Echo cyrkowych przeżyć Chaplina odnajdujemy również w „Światach rampy”, zwłaszcza we wspaniałym finale, po mistrzowsku odegranym przez Chaplina i Bastera Keatona.

Jak więc do tego doszło, że wielki filmowiec, jeden z najwybitniejszych twórców kultury Zachodu, musiał zamknąć się w swojej szwajcarskiej przysładowym. Do Szwajcarii chronili się ludzie z Międzynarodówki, do Szwajcarii uciekały ofiary terroru faszystowskiego. Chaplin jest również prześladowany — przez nowy faszyzm, panoszący się w Ameryce.

Podczas swego długiego życia Chaplin dał niejeden dowód miłości człowieka. Dowodem są już nie tylko jego filmy, oskarżające ustrój niesprawiedliwości społecznej (jak na przykład antyhitlerowski „Dyktator” czy też piętnujące wyzysk kapitalistyczny „Dzisiejsze czasy”). W obronie ludzkości często występował osobiście: przykładem niechaj będzie jego energiczny udział w akcji obrony Rosenberga. Sekretarka Chaplina oświadczyła nam, że podczas procesu Rosenberga wysłał on telegram do Eisenhowera, żądając ulaskawienia obójga niewinnych. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie raczył mu odpowiedzieć.

Chaplin przejmując się głęboko losami ludzkości. I jednego obawiał się zawsze najbardziej: wojny. Dlatego z tak wielką ulgą przyjął wiadomość o rozejmie w Korei.

A co sądzi Chaplin o stosunkach w Ameryce?

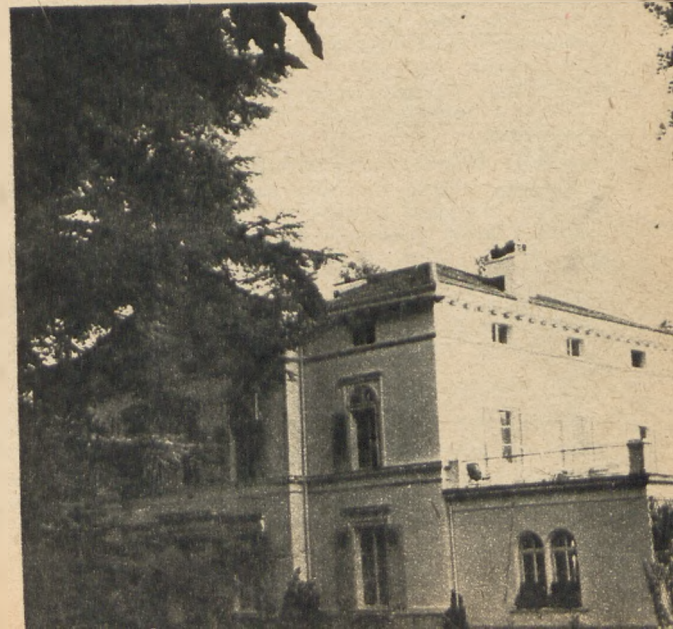
Na to pytanie sekretarka odpowiada z całą powagą. Zdaje się, że wszyscy wiedzą dobrze, co myśli Chaplin o kraju, z którego musiał wyjechać jako „osoba niepożądana”. Chaplin walczył i walczy dalej przeciwko tej obcej i wrożej mu ideologii „amerykanizmu”. Uważa, że Ameryka w końcu będzie odosobniona, że tzw. „kultura amerykańska” jest objawem rozkładu, zaś twórcy prawdziwej kultury stają się ofiarami politycznych prześladowań. Przykładem są chociażby dzieje Paula Robesona, Clifforda Odetsa i wielu postępowych filmowców. W Ameryce panuje atmosfera terroru i w tych warunkach Chaplin nie żałuje, iż nie mieszka już w Stanach Zjednoczonych.

A oto w jaki sposób narodził się pomysł nowego filmu Chaplina. Wprawdzie projekty otoczone są jeszcze tajemnicą, ale niektóre szczegóły przeniknęły już do wiadomości. Będzie to, prawie na pewno, film o osobistości

bardzo typowej dla dzisiejszej Ameryki. W bohaterze filmu widz z łatwością rozpozna senatora MacCarthya, prześladowcę demokratów, czołowego neofaszystę.

Nad tym właśnie filmem pracuje Chaplin. Ma on obecnie 64 lata, ale jego zapał jest istic młodzieńczy. Pracuje przez cały dzień, odbywając tylko niekiedy krótkie spacerki albo rozgrywając kilka partii tenisa. Do miasta wychodzi rzadko, najczęściej, aby obejrzeć nowe przedstawienia teatralne. Czasem udaje się samolotem do Londynu, gdzie prowadzi pertraktacje z producentami, prawdopodobnie najnowszy jego film realizowany będzie przez Artura Ranka. Mówią także, że Chaplin ma wyjechać do Meksyku. Nie wiadomo jednak, czy będzie robił tam zdjęcia do filmu opracowywanego obecnie, czy też do następnego. W każdym razie film o dzisiejszej Ameryce jest jeszcze w stadium przygotowawczym i nie tak prędko ukaże się na ekranach. Jest bowiem faktem dobrze znanym, że Chaplin nigdy nie miał nic wspólnego z powierzchownością i łatwizną amerykańskiej produkcji filmowej. Swój scenariusz będzie przeglądał słowo po słowie, poprawiając, jeśli zajdzie potrzeba, niezliczoną ilość razy. Uznaje on bowiem zasadę, że film powinien przemawiać językiem jasnym, zrozumiałym dla wszystkich. Niewątpliwie także i ten film stanowić będzie wielką lekcję dla filmowców Zachodu.

Na ustroniu, w cichej willi mieszka obecnie Chaplin, wygnany z USA przez amerykańskich neofaszystów



NA ZACHÓD OD NYSY

JÓZEF HEN

Ilustr.: M. ROSTKOWSKA

TORBE polową zostawiłem w sztabie, na usłanej słomą podłodze. Jedyne obciążenie, na które teraz się godzę, to czarny, ciężki nagan. Wszyscy mówią, że go całuję, ale to nieprawda; tylko mi się od tego przekłętą piachu ciągle lufa zatyka, czyścić w biegu nie ma kiedy, więc wydychuję ją ustami. W ustach mam pełno piasku, spluwam, w gardle sucho. Chce mi się pić — a tej wody się brzydzę, tyle się tu do rzeki trupów nawaliło.

Nad Nysą jest cisza — pisk i wrzask szrapneli już przebrzmiał — nieprzyjaciel jest stąd o jakieś osiem kilometrów, nasza piechota depce mu po piętach.

Jest cisza, zupełna cisza — bo chyba to żaden hałas, gdy rozebrani do połowy saperzy walą tam młotami przy moście? Odbiły się głuche, wchłania je las, woda, piasek. Na brzegu krzą się kilku oficerów. Żołnierze wkopują po tamtej, zachodniej stronie Nysy maszt z białą-czerwoną flagą, oficernie pomagają, fotograf pstryka — każdy chce mieć zdjęcie przy sztandarze. Historyczna chwila! Będą o niej kiedyś pisać w gazetach, książkach. Śmiejemy się, cieszymy — wiatr! Wiosna! — Słońce lśni na brązowych torsach saperów, wyglądają jak greccy zapaśnicy — na chwilę zapomina się, że wojna wciąż jeszcze trwa.

Słońce grzeje porządnie. oho. Rozpinam mundur — (nikt mi tu nie zwróci uwagi: front) — gorąco, pocę się. Brodę w piachu wzdłuż porzuconych okopów. Żołnierze z drużyny pogrzebowej — stare wąsate dziady — zbierają poległych. Układają ich jeden koło drugiego; niektórym trzeba rozprostowywać skurczone palce, żeby wyjąć z nich karabiny. Stary kapral, w okularach na kościstym nosie, notuje: „Stefanowicz Piotr. Karabin jest”. I dodaje głośno, trochę monotonnym głosem, jakby wykonywał jakiś konieczny obrzęd:

— Dobry był chłop.

Kapral przeciera okulary, chowa notes i krzyczy z rosyjską, taki to ma być żart:

— *Pieriekur!*

Żołnierze siadają i jedzą kaszę z menażek. Słyszę, jak skarżą się na „tego drania kucharza”, że znowu tłuszczu mało włożył.

Saperzy skończyli naprawę mostu, ocierają pot z pierśi, wkładają bluzy. Na most wjeżdża pomrukując ciężarówka z „76-tką”. Słuchamy wszyscy z niepokojem trzeszczenia mostu — wytrzyma? — Chwała Bogu, wytrzyma! Ciężarówka z działem na przyczepie wjeżdża na zachodni brzeg — i tu dopiero staje, grzęźnie w piasku na dobre. Obsługa zeskakuje z platformy, chwytają za koła.

— Ooo-op!

Szofer dodaje gazu, wścieka się przy drążkach biegów, kinie — nic, stoi, przekleść!

Kapitan — kuternoga pokuśtykał do saperów:

— Chłopcy, pomagaj!

I do tych z pogrzebowej:

— Karawaniarze, dosyć tego żarcia! Piechota na działa czeka!

Saperzy wyprostowują obolałe ramiona, dziady z pogrzebowej rzucają menażki, czepiają się brzuchatych kół auta, chwytają za ławetę, stękają, krzyczą „ooop!” — szofer znów u siebie w kabinie miota się przy biegach.

— Ooo-op! Ooo-op!

Porucznik Jeżykow odbiega od masztu z flagą, ma już chyba z tuzin zdjęć zrobionych. Krzyczy:

— *Drużno, rebiata!* Do czorta z takim dyrygowaniem!

I sam komenderuje:

— Raz — dwa — *wziali!* Raz — dwa — *wziali!*

Ręce oblepiły koła, grzbiety wygięły się, na „wziali” (a brzmiało ono śpiwnie, przeciągle, jakby śpiewał „Dubinuszka”) wszystko stęknięło — uuuff! — Idzie!

Idzie! Szofer macha z kabiny ręką — dobra nasza! — Artylerzyści wskakują na platformę, kapitan-kuternoga krzyczy za nimi:

— Gazujcie!

Na most wtacza się już następna ciężarówka. No, tej pójdzie łatwiej, ma już wyżłobione w piasku koło. Porucznik Walecki, delegat Zarządu Politycznego II Armii, wsiada do kabiny szofera. Wskakuje na platformę. Wjeżdżamy w sosnowy las — cień i chłód. Zapinam mundur, wyteżam wzrok: dostrzegam porzucony owijacz. Tędy szła piechota.

BIULETYN

— Czy zabraliście ze sobą moją torbę polową?

Mówią, że na pewno zabrali, ale to nieprawda — przeszukuję wszystkie graty — nie ma. Jestem zakurzony, zmęczony, w uszach szumi od huku linii, z której dopiero co wróciłem. Jesteśmy już dwadzieścia kilometrów na zachód od Nysy. Siódma, ósma, dziewiąta i piąta dywizja są już o wiele dalej, zajęły podobno Rothenburg i nawet Bautzen, ale nasze zadanie, dziesiątej dywizji, jest inne: mamy zamykać pochód II Armii, nie wypuszczać nieprzyjaciela z pierścienia i pchać go w kocioł. Tamte dywizje mają wsparcie czołgowe — nasza, dziesiąta, nie ma broni pancernej. Te dwadzieścia kilometrów, któreśmy przebrnęli, to las — iglasty, ciemny, podszyty mchem, usłany zbutwiałymi choinami. No i jak teraz wracać po torbę do Gross-Zelten? Przepadła. Miałem w niej notatki z pięciu lat wojny, dzień po dniu, przystępna po przystępnie, setki utrwalonych typów, krajobrazów, rysów obyczajowych.

Można się wściec! Na szczęście Stach Kowalski, szesnastoletni pomocnik szofera, przygotował mi z własnej woli posłanie; bardzo to ładnie z jego strony. Wychoję na podwórzu do studni, rozglądam się — czarny las, na ciemnoszarym niebie połyskują mętnie pierwsze gwiazdy, gdzieś tam daleko wsaczają się w horyzont języki czerwieni. Grzmi: biją działa.

Kasyno, jak zwykle, jest gdzieś na końcu wsi — zawsze się tak urządza, że musimy drałować ze dwa kilometry. Kolacja będzie gdzieś koło dwunastej w nocy. Schodzę do piwnicy, znajduję jakieś stare weki: kompot z porzeczek, kwaśny, aż skóra cierpnie. Kowalski wyjmuję ze skrzynki łojowe świeczki, sierżant Żuch głośno wyrzeka na kasyno.

Przychodzą dwaj żołnierze z łączności.

— Gdzie postawić telefon?

Ustawiają na oknie. Ledwie założyli aparat, już w nim coś trzli. To do mnie. Dzwoni major, zastępca dowódcy dywizji do spraw polityczno-wychowawczych.

— Czy zrobiliście już biuletyn? — pyta. Wydaje mi się, że mówiłby z zaświatów. Biuletyn, biuletyn. Aha — no tak, przecież stale go robię.

— Zaraz się biorę — przyrzekam.

— Czy macie coś ciekawego? Nazwiska najdzielniejszych?

— Przede wszystkim saperów. A z innych kapral Martynoga, podporucznik Patys — wycytuję mu z karteczki szereg nazwisk. To wszystko z dwudziestego dziewiątego pułku, bo tam byłem sam. A z innych nie mam wiadomości. Trzeba Sipule i Wydrze natrzeć uszu, obywatelu majorze. Powinni dbać o to, by nazwiska najlepszych znalazły się w biuletynie.

— Sami się starajcie — mówi major. (Dobrze mu

mać „staraj się”. Ale jak? Na kawalki się nie rozerwę. — Oni tam mają swoje kłopoty. Aha, zapomniałem: Sipulo jest ranny. Trzeba mu załatwić atestat pieniężny.

— Tak jest!

— Bańskiego... — major namyśla się.

— Słucham.

— Poślijcie Bańskiego na miejsce Sipuły. Przygotujcie rozkaz, kapitan niech podpisze za mnie. Dobranoc.

Odkładałem słuchawkę. Świeczki dogasają, w ich migocącym świetle widzę skupione twarze naszych oficerów: kapitan Łazębski, Bański, Rajewski, sierżant Żuch i Jasiński. Otaczają mnie:

— Co powiedział?

— Bański na front. Sipulo ranny.

— Gdzie stoi dziś dwudziesty siódmy? — pyta Bański i nie czekając na odpowiedź zaczyna pakować plecak. Marysia już wystukuje rozkaz na maszynie. Kowalski zapala kilka nowych świeczek. Na podwórku wtacza się „Wanderer” majora. Szofer Górski, wesoly, bystry blondyn, wykrzykuje:

— Po porucznika Bańskiego! Rozkaz już gotowy?

Bański wsiada do auta.

— Zawiadomcie żonę — prosi.

Żona jest instruktorką propagandy w batalionie szkolnym.

Bański ogląda się: czarny las, fioletowe niebo, na horyzoncie czerwień. Nasłuchuje: grzmi.

Szofer zapuszcza motor. Po chwili wchłonęła ich noc

Wracam do kwatery. Nasz lingwista, sierżant Kraut, starą wyjadaczkę i obleżyświat, słucha przez radio angielskiego komunikatu. Nos wetknął w aparat, ucisza nas gestem i syczy:

— Tss. Pracować, psia! Nie dacie... Niech pani zakłada matrycę, panno Marysiu, będziemy pisać komunikat.

Słyszę jak dyktuje:

— „Odstep. Wojska alianckie zajęły Norymbergę. W Norymberdze odbywały się zjazdy przywódców partii hitlerowskiej. tam też zrodziły się tzw. „ustawy norymberskie”. Odstep...”

Maszyna stuka. Powieki ciężko opadają.

— „Nowy prezydent oświadczył, że chce być tylko kontynuatorem polityki zmarłego prezydenta Roosevelta. „Nigdy nie zgodzę się na kompromisowy pokój” — oświadczył prezydent Truman.

— Jak on się pisze?

— Samo u, jak „Upadły anioł”. Napisała pani „prezydent Truman”? Otworzyć cudzysłowy. „Nie ominię zasłużona kara faszystowskich przestępców, nawet gdyby trzeba ich było ścigać do najdalszych zakątków świata”. Dobrze powiedział, co? Zobaczymy jeszcze ładne rzeczy! No, ja skończyłem, teraz wy, poruczniku Hen.

Dyktuje:

— Tytuł: Chwała bohaterom saperom. Od nowego wiersza. Pisz: Nieśmiertelną sławą okryli się saperzy por. Permiakowa, którzy pod huraganowym ogniem nieprzyjacielskim zbudowali most — i po skończonej bitwie bez odpoczynku pracowali dalej. Szczególnie odznaczyli się odwagą i pracą: saper Januszkiewicz Jan, saper Gemon Piotr, plut. Trebaczewski Julian, kpr. Płachta Marian, sierż. Krynicki Michał...

Pisałmśmy do późna w nocy...

POJEDYNEK

Przyszedł porucznik Walecki.

— Hen, wybieram się do dwudziestego siódmego na linię. Pójdziecie ze mną?

Do dwudziestego siódmego idę najchętniej, bo jest tam aż trzech chłopaków z mojego dawnego zespołu żołnierskiego. Jednego z nich raniło podczas walk o Nysę i teraz już tylko Józek Baran i Staszek Sowa pomagają Bańskiemu w sekcji pol. - wych. Idziemy we czterech na linię: Walecki, Baran, Sowa i ja. Niemcy bronią się po drugiej stronie rzeki Schwarzenschoeps. Okopy nie są tu tak solidne jak nad Nysą, to



19

G

RUBO ponad pół miliona ludzi przybywa do Lourdes rocznie. Wciąż tłoczno jest przy grocie, znajdującej się po prawej stronie tej samej skały, na której szczyście wzniesiono bazylikę.

To właśnie tutaj przed bez mała stu laty gromada mieszkańców baskijskiej wioski patrzyła szeroko otwartymi oczyma, jak Bernadette, córka młynarza Soubriou, ogląda w ekstazie Dziewicę i słyszy jej głos. Oni sami nie mogli jej ani dojrzeć, ani dosłyszeć, ale czyżby to miało umniejszyć ich własną ekstazę, skoro obecny przy tym proboszcz Peyramale pouczył ich, że rzecz to normalna, bo tylko wybrancom dana jest wielka łaska widzenia!

Dziś jarzy się tu niezliczona ilość poświęconych świec. (Świece kosztują w Lourdes od 30 do 20.000 franków — zależnie od ich wielkości i wykonania).

Pośród skwierczenia knotów, w woń rozgrzanej stearyny i kadzidla, sunie niekończąca się kolumna ludzi, którzy przyklękają, spoglądają na las zawieszonych tu kul i protez, całują wyglądzoną milionami warg ścianę groty, składają ofiarę do puszek, zostawiają (w specjalnym koszu) listy z prośbami do Dziewicy. Wszystko to odbywa się w skupieniu, ale na tyle szybko, by dać miejsce następnym — idącym o własnych siłach i wprowadzanym na noszach.

Ze skalnej ściany wystają na zewnątrz kurki kranów: tu można zaczerpnąć i napić się cudownej wody, płynącej z cudownego źródła, które bije w grocie.

Dalej, na niewielkim dziedzińcu (okrągowaniem odgradzonym od drogi, która prowadzi ku grocie) czekają na wózkach i noszach chorzy, pragnący w piscynach obmyć całe ciało wodą ze źródła, ufający, że to położy kres ich cierpieniu*).

Jak refren, wciąż podsycany szeptem

*) Nie byłem w piscynach. Ich sugestywny i przejmujący opis daje wspomniany już reportaż E. Kische („Kapatem się w cudownej wodzie”) zawarty w tomie pt. „Szalejący reporter”. Reportaż ten (pisany przed dwudziestu laty) jest wciąż jak najbardziej cennym spojrzeniem na istotę spraw związanych z cudowną grota w Lourdes.

POJECHAŁEM DO Lourdes

ZBIGNIEW STOLAREK

2)

wielu ust, unoszą się słowa litanii: „Matko Boża z Lourdes, módl się za nami!... Święta Bernadetto, módl się za nami!...“

W atmosferze, która tutaj panuje — w migotaniu świateł, w modlitewnym szeleście słów i, przede wszystkim, w spojrzeniach i postawie modlących się — wyczuwalne jest napięcie tak skoncentrowane, że wydaje się niemożliwe, by już za chwilę nie miało tu nastąpić coś niezwykłego, czego wszyscy oczekują.

Jednak godziny mijają jedna po drugiej — i nie dzieje się nic, co by usprawiedliwiało to oczekiwanie pełne napięcia — nic, co by wyzwoliło z piersi tłumu przeciągłe westchnienie „stało się!“. Tylko wciąż nowe twarze (blade, pożółkłe, napiętnowane cierpieniem) przesuwały się na wózkach — tak jak każdego dnia w roku, o którym statystyka mówi, że ponad pół miliona osób przybywa do Lourdes.

Na chwilę pamięć przywiodła mi obraz, jaki tak niedawno widziałem w pociągu: oto moment, w którym mężczyzna o nogach drżących jak w ataku febry podnosi się, zмага ze swoją niemocą, by o własnych siłach dojść do drzwi przedziału. Tutaj taki widok uczyniłby chyba wrażenie podobne wyładowaniu elektrycznemu — może nawet zapaliłby w wielu oczach gorączkowy błysk ekstazy.

Godziny mijają. Suchego szelestu różańcowych ziarenek nie przerwie okrzyk „miracle!“ — cud! Nie usłyszysz się go ani przed grota, ani przed frontonem kościoła,

gdzie już posługacze wtaczają wózki z chorymi, ustawiając je w wielu długich rzędach. Stoją one obok siebie — bliźniacze: z ludźmi leżącymi na nich nieruchomo. Niemał nad wszystkimi podniesione są budki płócienne dla osłony przed słońcem.

Tłum zdrowych (pielgrzymi? Krewni chorzy? Turysty?) przygląda się temu z góry — jak z wysokiego krużganika — stojąc wzdłuż balustrad, na schodach prowadzących do bazyliki.

Coraz bardziej zapelnia się wózkami przestrzeń przed kościołem.

Może za chwilę odbędzie się msza? — jedna z wielu, jakie zamawiają tu chorzy i ich rodziny, ofiarowując wszystko, na co ich stać, aby również wysokość ofiary świadczyła o ich całkowitym zawierzeniu swego losu Opatrzności.

Nieruchomo leżą chorzy przykryci pledami.

Oczekiwanie nie ma już teraz tego napięcia, jak przed grota.

Przerzucam kartki publikacji (nabytej w Lourdes) o cudownych uzdrowieniach. Z tekstu wynika, że od 1890 roku zaczęło tu funkcjonować „Biuro stwierdzeń medycznych“.

Dlaczego akurat od roku 1890?

Czyżby był to bezpośredni efekt encykliki papieża Leona XIII (ogłoszonej w 1890 r.) w sprawie losu robotników?... Nic wówczas łatwiejszego jak dosłuchać się w orzeczeniach „Biura stwierdzeń medycznych“ tej specyficznej prawdy, według której zdobycze socjalne (o jakie walczyła klasa robotnicza) mało co znaczą wobec działania cudownej wody z Lourdes — wobec interwencji mocy nadziemskich w sprawy doczesne. Jakże gładko wydaje się prowadzić drogę od encykliki w sprawie losu robotników do tej „praktycznej lekcji“, jaką służy Lourdes na temat znikomości ludzkiej wiedzy i ludzkich poczynąń.

Gdy w chwilę później wchodzę do kościoła i przebiegam wzrokiem po olbrzymiej ilości tabliczek dziękczynnych, już od wejścia przesłaniających ściany — daremnie wypatruję takich podziękowań, które choć w pewnej mierze stanowiłyby dowód, że to właśnie wskutek cudownych uzdrowień pozostały tutaj, jako ex-vota, drewniane kule, sztuczne nogi i wszelkie inne widome oznaki ludzkiego kalectwa.

Tego rodzaju podziękowań nie dostrzegłem — choć szukałem; nie udało mi się zobaczyć ani jednego podziękowania, które jakoś usprawiedliwiałoby moją dawną, uczniowską żarliwość, kiedy wierzyłem, że woźny Ludwiczak mógłby wrócić z Lourdes bez garbu,

prosty jak trzcina. I dziś już nie potrafiłbym — tak jak niegdyś — śmiać się na samą myśl, że oto Ludwiczak oblewa się wodą ze studni mojego szkolnego koleżki, Kowalika, wierząc w skuteczność tego zabiegu...

Gorzkie są refleksje w chwili takiej konfrontacji z własną, minioną ufnością. Chyba tak samo gorzkie jak wyraz twarzy tych wszystkich ciężko chorych, którzy na noszach i wózkach opuszczają teren piscyn i groty.

DAĆ na lewo od bazyliki dochodzi się do wzgórza Kalwarii. Po jednej stronie alei, wznoszącej się serpentyną, pośród drzew, stoją Stacje Męki Pańskiej. Do pierwszej z nich prowadzą schody zwane Scala Sancta. Przed schodami widoczny jest napis:

OBWIESZCZENIE. Zabrania się:

1) wstępować na stopnie Scala Sancta inaczej niż na kolanach,

2) dotykać posągów.

Wierni, którzy wstąpią na Scala Sancta, będą mogli na każdym stopniu otrzymać cztery razy w roku — w dniach przez nich wybranych — 9 lat odpustu pod następującymi warunkami:

1) wypowiadają się przedtem i przystępują do komunii św.

2) będą wstępować na kolanach

3) będą się modlili na intencję Papieża.

Kilka osób kłęczy u szczytu Scala Sancta. Modlą się. Kornie pochylają głowy przed wielką, odlaną w brązie grupą postaci. Jak widomy akt wiary trwają u stóp tych, którzy uosabiają tu świętość i boskość.

Gdy się patrzy z dołu, z alei, doskwierać zaczyna poczucie własnego natężenia — jak zwykle, jeżeli jest się zbędnym świadkiem czyjegoś głębokiego wzruszenia. Jednak trudno odejść od razu. Sprawa jest zbyt dziwna, by minąć ją obojętnie. Bo jak sobie wytłumaczyć, że rzeźba wilczyca z dwójgłosem ssących ją dzieci zdaje się patronować grupie posągów na Scala Sancta? Przecież to nie innego jak symbol pogańskiego Rzymu: wilczyca z Remusem i Romulesem... Więć dlaczego umieszczono ją nad centralnym dla całej grupy posągów, ku któremu przede wszystkim kierują się spojrzenia modlących, pragnących obcować z Bogiem?!

Niecierpliwie przerzucam kartki publikacji zakupionej w Lourdes. Zaskoczony, czytam dwukrotnie, jak gdybym nie mógł zrozumieć natychmiast.

Więc jednak! Czarno na białym mówi się w publikacji o błędzie rzeźbiarza, który tak nieumiejętnie skomponował całą grupę, że jej punktem centralnym — niemal głównym przedmiotem adoracji — stał się nie kto inny, jak tylko namiestnik cesarza rzymskiego: Piłat. (stad też starorzyska wilczyca). Dopiero jakby w cieniu Piłatowego majestatu znalazło się jakieś miejsce dla Chrystusa, niemal zagubionego wśród innych postaci.

Koszty stworzenia tak wielkiego odlęwu rzeźbiarskiego musiały być zapewne niemałe. Czyżby więc uznano, że nie warto powiększać kosztów przez zamówienie właściwiej skomponowanej rzeźby, która by nie narażała pielgrzymów na (powiedźmy) nieporozumienia? W publikacji, którą zakupiłem w Lourdes, nie było na ten temat wyjaśnień. Mogłoby się jednak wydawać, że sumy, jakie wpływają do najslawniejszego w chrześcijaństwie miejsca pielgrzymek, wystarczają aż nadto na miejscowe potrzeby — mimo że duża ich część odpływa wartką strugą dalej: ku siedzibie papieża, na którego intencję wielu ludzi śle tutaj modły przed posągami namiestnika Rzymu, prześladowcy pierwszych chrześcijan.

Wzdłuż alei znajdują się dalsze Stacje — tak samo olbrzymie. Już się nie zatrzymuję przed nimi. Przystaję na chwilę przy balustradzie (po lewej stronie drogi pasyjnej), skąd jak na dłoni widać panoramę Lourdes.

Gdy odwracam się na chwilę później, z perspektywy alei wyskakuje pochylona sylwetka ludzka: posuwa się naprzód podrzutami całego ciała. Jest coraz bliżej. Gdyby nie chodziło o człowieka, można by pomyśleć, że to dziwaczny, źle skonstruowany mechanizm usiłuje raz po raz odbić się od ziemi — bezustannie ponawiając tę próbę. Błyskawicznie słońcu dwie aluminiowe kule — jak gdyby



Na noszach, zaopatrzonych w płócienną budkę dla ochrony przed słońcem, leżą ludzie chorzy i utomni — oczekują cudu... Balerna rezygnacja maluje się na twarzy ojca powracającego z cudownej groty, gdzie wraz ze swą ułomną córką błagał o łaskę... Dokąd wrócić się teraz, jeżeli najjaśniejsze nadziej, jakimi są przepojone serca pielgrzymów przybywających do Lourdes, zawiodły? Czy może do Hydrequent?... Miał tam niedawno „widzenie“ (24 sierpnia ub. roku) chłopczek o bystrych oczkach, mały Jean Lavoisier (patrz: ostatnie zdjęcie), który z dużą ochotą pozuje fotografom, nie zapominając za każdym razem rozkładać rąk w „przeplisowym zachwycie“



ACHTUNG! NYLONY!

OST-WEST-KURIER

Drogie nasze Czytelniczki! Żony, matki, siostry i córki Czytelników „Świata“! Pragniemy Was przestrzec przed nieszczęściem! Niech żadna z Was nie waży się nosić publicznie nylonowych pończoch! Może się bowiem znaleźć w wielkim niebezpieczeństwie!

Oto, co na ten temat pisze tak doskonale poinformowane pismo, jak „Ost-West-Kurier“:

Westeuropa geschmuggelte Nylon-Strumpfe erzielen in Warschau Preise bis zu 800 Zloty. (Sie dürfen allerdings in der Öffentlichkeit nicht getragen werden, da sie sonst sofort als Beweis für die „imperialistische“ Verbindung mit dem Westen ausgelegt würden.)

„Przemycane z Europy zachodniej pończochy nylonowe osiągają w Warszawie cenę do 800 złotych. (Nie wolno ich jednak nosić publicznie, gdyż może to być natychmiast potraktowane, jako dowód imperialistycznych powiązań z Zachodem).“

Kropka. Amen. Słowem — czarna mogiła za noszenie nylonów.

WŁOSKIE ŚREDNIOWIECZE



bezużyteczne, bo trzymane pod pachami poziomo. Mężczyzna ma mniej więcej trzydziści lat. Z wysiłkiem skacze na jednej nodze. Przy każdym ruchu gwałtownie dryga krótki kikut jego drugiej nogi, urwanej powyżej kolana. Kiedy mijam mnie, słyszę wiszący oddech. Widzę rozpalone oczy, nad którymi kosmyk zlepiionych włosów przylgnął do czoła. Stojąca opodal dziewczyna w białej bluzce jakby nagle ocknęła się z odrętwienia: podbiegła z wyraźnym zamiarem podtrzymania, ofiarowania się z pomocą. Raptownym podrzutem aluminiowej kuli odepchnął wyciągniętą ku niemu rękę. Z jego gardła wyrwał się ostry, niezrozumiały okrzyk. Twarz stężała w grymasie odrazy i nienawiści. Zatrzymał się, pociągnięty siłą własnego pchnięcia. Kula chybotliwie zamigotała jak ryba rzucana na piasek. Trwało to przez mgnienie oka. W nowym podskoku odzyskał równowagę. Już parę dalej, ku szczytowi drogi pasyjnej — może wyrażając w taki właśnie sposób swoją wdzięczność dla Opatrzności, lub może chcąc ją uprosić o wysłuchanie swych błagań. Dziewczyna patrzyła w ślad za nim. Usta miała otwarte, jakby nagle zabrakło jej oddechu.

Wracając z wzgórza Kalwarii nie poszedłem w kierunku pałacu biskupiego, choć dotychczas tam nie byłem. Doremnie usiłowałem sobie przypomnieć, jak się nazywał ów biskup, z którym proboszcz Peyramale omawiał niegdyś sprawę widzeń Bernadetty Soubirous. Oczywiście, w tamtym czasie nie było tu jeszcze pałacu biskupiego. Dopiero później. Teraz, patrząc z daleka, odniosłem tylko to wrażenie, że pałac kąpie się w zieleni i spokoju. Chyba na mocy kontrastu pamięć przyniosła mi obraz hałaśliwej ulicy paryskiej. Tej samej, na której widziałem księdza, wytrwale noszącego duży plakat (przyklepiony na dykcie) z wyraźnymi ręcznymi napisami. Jeden z tych napisów mówił:

GDYBY CHOĆ CO PIĄTY BISKUP BYŁ CHRZEŚCIJANINEM, LEPIEJ BY SIĘ WSZĘDZIE DZIAŁO

Czy ten nieznany mi ksiądz francuski, który uważał za konieczne w ten

sposób wyrazić swą troskę o sprawy religijne, miał na myśli dostojników kościelnych, znanych sobie z imienia i z nazwiska? Nie umiem na to odpowiedzieć.

Wróciłem w kierunku miasta.

WHOTELU, w którym zatrzymałem się, powiedziano mi, że zamiast się nosić z postanowieniem wyjazdu, powinienem teraz znowu pójść pod bazylikę, by zobaczyć wieczorną procesję — w przeciwnym razie stracę jedyny w swoim rodzaju widok iluminacji, tyśięcy świateł, płynących w przestrzeni rozkołysanej dźwiękami dzwonów i śpiewem chórów.

Nie poszedłem jednak w kierunku bazyliki, chociaż była po temu pora. Już i z hotelu otynkowanego na różowy kolor zstępowali po schodach ludzie, ostrożnie wyciągający przed siebie laski, które wyraźnie odcinały się swoją bielą w szarości zmierzchu. Trzydzięci osiem lasek lekko dotykało trotuaru. Trzydziestu ośmiu ślepców znów szło ku bazylice, której wysmukły gotyk zapłonął właśnie światłem.

Samochcę poznać widoku wieczornej procesji. Tak samo zresztą jak nie skorzystałem z okazji nabycia cudownej wody w pastylkach, mimo że wszędzie można tu je nabyć w niebieskich pudełeczkach, których pokrywka zaopatrzona jest w wizerunek Matki Boskiej z Lourdes. Na oko pastylki te niczym się nie różnią od pastylek wody emskiej czy Vichy. Ale jeśli się wrzuci jedną pastylkę do szklanki zwyczajnej wody, natychmiast nabiera ona tych samych cudownych właściwości, co woda z grotu Massabielle. Tak twierdzi przynajmniej długi przepis (załączony do pudełeczki), którego przeważna

część (zakończona ostrzeżeniem WYSTRZEGAJCIE SIĘ NAŚLADOW-NICTW) czyni takie wrażenie, jakby przemieszano kupiecką reklamę z kazaniami niedzielnymi. Pudełeczka są różne — od wielkości spodeczków serwisu kawowego do wielkości małych talerzyków. Szczelnie wypełniają je pastylki. Nie mam pojęcia, ile litrów wody musi wyparować dla otrzymania tylko jednego, najmniejszego pudełeczka pastylek. Wiem natomiast, że źródło w grocie dostarcza niewiele więcej ponad sto dwadzieścia hektolitrami wody dziennie i że piją ją tysiące pielgrzymów — napędzają nią naczynia, kąpią się w niej. Jednak pudełek z pastylkami (nie wspominając już o takich specjalach jak mydelka, zaprawiane wodą z cudownego źródła) jest w Lourdes tyle, ile tylko dusza zapagnie.

W pobliżu dworca zęgnął mnie napis znad kiosku z losami loterii:

**ZANIM OPUŚCISZ LOURDES
NIE ZAPOMNIJ POPRÓBOWAĆ
SZCZĘŚCIA!**

„Tentez votre chance! Tentez votre chance!“ — popróbujcie szczęścia!... Więc nawet kolektura loterii państwowej usiłuje pozerować na dobrej wierze ludzi, zainkasować choćby mikroskopijną cząsteczkę tych olbrzymich sum, jakie wraz z pielgrzymami napływają do Lourdes!

Daleko są widoczne światła bazyliki. Kaleki, chorzy o twarzach zastygłych w maskę cierpienia, czekają na cud.

Cudu nie ma — i nikt o to nie może mieć żalu:

„Jeżeli modlicie się, a nigdy nie nie otrzymujecie — mówi publikacja z kościelnym

PROSTYTUTKA W ROLI PROROKA



Korei Południowej zaczęły napływać transporty wesołych pańienek werbowanych w całych Stanach Zjednoczonych. Aby podkreślić swój „patriotyzm“, zgłosiła się na ochotnika również Marilyn Monroe, oświadczając, iż gotowa jest przekonać żołnierzy amerykańskich „gdzie ich przyszłość“ Sztab amerykański, a w jeszcze większym stopniu McCarthy, oczarowani byli „poświęceniem i patriotyzmem“ hollywoodzkiej divy.

I oto teraz „atomowa piękność“ znalazła się w Korei w roli proroka przepowiadając żołnierzom amerykańskim, iż czeka ich wspaniała przyszłość, jeśli tylko nadsziedzą się będą zabijając „paskudnych czerwonych“.



NIE UDAWAJ GREKA



Kancelerz boński Konrad Adenauer udał się do Aten, aby osobiście dopilnować realizacji amerykańskiego planu paktu wojskowego Niemcy Zachodnie — Grecja — Turcja. Aby ukryć prawdziwy cel podróży, wiele godzin poświęcił on zwiedzaniu starożytnych ruin, składaniu wieńców na grobach hitlerowskich żołnierzy, którzy w czasie drugiej wojny „wzbogacili“ Grecję w nowe ruiny — oraz pokojowym przejażdżkom na osiołku (bez gałązki oliwnej w ręku).

Prawdziwego celu podróży nie udało się jednak ukryć. Nie udawaj pan Greka, herr Adenauer.

„imprimatur“ — to znaczy, że modlicie się źle, albo, że brak wam wytrwałości w modlitwie, albo, że próśby wasze są takie, że ich zaspokojenie jest niemożliwe lub też, że niewiele mają one wspólnego ze zbawieniem waszej duszy“.

Czy ktokolwiek i kiedykolwiek mógłby stwierdzić, że jego wytrwałość była wystarczająca, że zaspokojenie jego próśb było możliwe, że próśby te miały wiele wspólnego ze zbawieniem jego duszy?

Ten żelazny mur zastrzeżeń, nie do przebycia dla kaleki i człowieka chorego, staje się jednak widoczny w całej jego przynajmniej okazłości dopiero na miejscu, na terenie cudownej grotki.

Rokrocznie nadzieja sprowadza do Lourdes ponad pół miliona ludzi. Na dworcu trwa nieustanny ruch.

„Tentez votre chance!“

Wyjeżdżając z powrotem do Paryża miałem za sobą pobyt w Lourdes i pobyt w Bajonnie pasjonującej się pierwszą w sezonie corridą. Pod powiekami pozostał mi obraz wirtuozerii matadora, w którego rękę płachetka szkarłatnej flaneli zamieniała się w niezawodne narzędzie podporządkowania pędu byka zamierzniemu matadora — aż do chwili śmierci.

Jednak nie wrażenia z areny były dla mnie najtrwalsze.

Gdy pociąg przejeżdżał przez Dax, ponownie wydobylem z teczek przewodnik po Francji, by jeszcze raz przeczytać, teraz już z prawdziwą satysfakcją, tych kilka konkretnych i jakże optymistycznych zdań, mówiących o źródłach, które leczą po prostu wodami siarkowymi i solnymi.

KONIEC



No, bo gdyby ten gruby, zasapany z pośpiechu pan nie zdążył wsiąść, mógłby się spóźnić do biura, miałby przykrość, może nawet zaszkodziłoby to jakimś ważnym sprawom. A ta młoda, ładna dziewczyna na pewno biegła na spotkanie ze swoim chłopakiem. Nie przyjeżdża na czas? Chłopak pomyśli, że nie kocha, obrazi się i pójdzie. Będą z tego lzy i nieporozumienia — rzecz zwyczajna u młodych, ale wcale niepotrzebna. No a ta kobieta z dzieckiem, to sprawa zrozumiała sama przez się. Czy można nie zaczekać na biegnącą do autobusu niewiastę z dzieckiem na rękach. Może śpieszy się do lekarza, może...

Co to za jakieś bajeczki — pytacie? To wcale nie są bajeczki, moi drodzy. To są powody. Powody, dla których kierowca autobusów miejskich Czesław JERZY wstrzymuje wóz i czeka, aż pędzący do przystanku przechodzień wsiądzie, a sprawdza jeszcze, czy wszystko w porządku, czy już można ruszyć.

Nie wierzyć, że jest w Warszawie taki kierowca? Nie dziwię się Wam wcale. Kiedy przyniosłam do redakcji ten felieton, sekretarz spojrzał na mnie spode łba i z niedowierzaniem zapytał: „Czy to aby prawda?”

Musiałam zaklinać się na wszystkie świętości, że owego „cudownego” kierowcę widziałam na własne oczy, że sama we własnej osobie wsiadałam do wozu, który specjalnie na mą prośbę zatrzymał.

No cóż? Kierowcy autobusów warszawskich nie przyzwyczaili nas do tego, byśmy zdołali byli wierzyć w podobne cuda. Chleb codzienny wygląda zupełnie in-

aczej. Machasz człowieku ręką, wolisz, prosisz, a tu przed samym nosem drzwiczki trrrach, autobus gazu. Jak by na złość. Myślisz, że zdążysz? A właśnie, że nie. Minę masz potem głupią, bo czujesz, że cię nabito w przysłowiową butelkę, więc tylko poprawiasz przekrzywiony kapelus, niespokojnie spoglądasz na zegarek i... kiniesz. Chodziło przecież jedynie o ułamek sekundy i... o ułamek dobrej woli. Czesław Jerzy nie lubi wiele mówić, zwłaszcza o sobie. Pięć lat w Dachau, stracone zdrowie, więc z młodego, silnego niegdyś jak dąb mechanika silnikowego stał się po wojnie szoferem. Ale to nie dowód, żeby swoje żale i bóle na innych wyladowywać. Przeciwnie. Właśnie trzeba sobie nawzajem życie ułatwiać.

Wydaje się to takie jasne i proste. Więc dlaczego inni kierowcy nie postępują tak jak Jerzy?

— Wszystko zależy od człowieka — odpowiada tylko.

Dodajmy jeszcze pod adresem kierow-

ców warszawskich autobusów — wszystko zależy od tego także, by w przechodniu, który błagalnie wymachuje ku wam ręką, „widzieć” żywego człowieka.

P. S. Chcę być sprawiedliwa i nikogo nie skrzywdzić. Wierzę, że są w Warszawie uprzejmi kierowcy, którzy, podobnie jak Czesław Jerzy, rozumieją, że autobus jest dla ludzi, a nie ludzie dla autobusu. Wiem o tym zresztą z doświadczenia. Kiedyś, gdy późnym wieczorem szłam Belwederską, ujrzałam pędzący w kierunku miasta autobus. Do przystanku było daleko i nie śmiałam nawet podnieść ręki. I oto wóz zatrzymał się tuż przy mnie, a miły głos zapytał:

— Dokąd pani potrzebuje?

— Na Żoliborz.

— Proszę wsiadać, właśnie jedziemy do zajezdni.

Było to jakieś dwa i pół roku temu.

Jak często jeżdżę autobusem?

Przeciętnie trzy do czterech razy dziennie.



Fot. J. Kosidowski



„ŚWIAT” przypomina!

REJTAN Z GOŁĘDZINOWA

czyli

PAN ZYGMUNT NOWAKOWSKI
W GRANATOWYM MUNDURZE

NIESKAZIWY, nieprzekupny, czysty jak lza; książkę niezłomny, rycerz bez zmyś, Rejtan. Takim się widzi pan Zygmunt Nowakowski, bard emigracji londyńskiej, wcielenie cnót narodowych i obywatelskich. Takim się widzi i za takiego chciałby powszechnie uchodzić. A w każdym razie w emigracyjnym światku oraz — co ważniejsza — pośród dolarodawców. Tymczasem...

Leży przed nami książka. Jedno z wielu arcydzieł kawalera świętego Ikara. Jedno z wielu, a jednak niezwykle. Już sama okładka mówi za siebie. Proszę spojrzeć.

Odwracamy kartę tytułową i tu czekają nas jeszcze większe dziwy. Na odwrocie napis.

Dlaczegoż to: „specjalne”? Dlaczego: „nie przeznaczone”? Ano, ze względu na treść.

WYDANIE DRUGIE SPECJALNE, NIE PRZEZNACZONE
DO HANDLU KSIĘGARNIOWEGO.

PANI
SŁUŻBA



GEHRTNER-WOLFF WARSZAWA

Bohaterem tej „wzruszającej” książki jest Zawisza Granatowy z Gołędzinowa, „pan władza”, podpora domorosłych hitlerków, podkomendny Kordiana-i-Chama-Zamorskiego, słowem sanacyjny policjant. Wychowany w szczytnych ideałach Centralnej Szkoły PP w Mostach Wielkich, przećwiczony w gołędzinowskim gnieździe orłów. A że sierotom i wdowom zabierało się czasem przysłowiowy sierocy i wdowi grosz; że strzelało się nieraz do „ciemnych” podopiecznych, a nawet do ich dzieci; że wiadomo czym i jak szermowali komendanci posterunków policji w całej Polsce... Trudno — powiada pan Zygmunt — pani służba tak każe. Służba ofiarna, lecz piękna. a przy tym... A przy tym — dodaje nasz miły autor — wcale nieleże płatna.

Kto jednak czytał ten rzewny utwór, skoro nie można było dostać go w księgarni? Rzecz w tym, że sławojowska policja cierpiała na coraz dotkliwszy niedobór świeżych sił. Brakło kandydatów na oprawców, palkarzy i szubieniczników. Pan Zygmunt Nowakowski ofiarował się przybrać ich „zajęcie” wszystkimi blaskami tęczy. A plód jego talentu rozdawano szczerze zawodowym podoficerom, wśród których najgłębiej krążyli agenci werbunkowi policyjnej Komendy Głównej.

„Pani Służba” doczekała się dwóch wydań. Nie złotych, skradzionych chłopom białoruskim, przeszło w związku z tym do czelustnych kieszeni spryciarza z krakowskich Plantów, trudno dziś ustalić. Wiadomo tylko, że sporo. Tak przynajmniej twierdzą wielcy wtajemniczeni w klubie Białego Konia na Piccadilly. I z tej racji w zgranym kółku przyjaciół honorowy komisarz PP nosi pono przydomek Rejtana z Gołędzinowa.

Czy tak, panie Zygmunie?

J. staw.

Droży Czytelnicy!

Na ręce autorki opowiadania pt. „Katastrofa”, drukowanym w naszym tygodniku, napływa dalsza korespondencja. Drukujemy poniżej jeden z ostatnich listów: „Sądzę, że miło będzie autorce „Katastrofy” dowiedzieć się, że Jej opowiadanie pomogło jednemu z „Inżynierów Rudnickich” wyzwolić się z resztek tkwiących w nim kompleksów i urazów, mających źródło m. in. w jego AKowskiej przeszłości. Niestety, nie miałem takiego szczęścia jak bohater „Katastrofy”; w tym okresie, gdy było mi najciężej, nie znalazł się nikt, kto by mi pomógł. Nie chcę zresztą zwać winy na innych, może i ja miałem za mało zaufania, może nie tam szukałem tych ludzi, gdzie należałoby ich szukać? A moje najbliższe otoczenie, rodzina, przyjaciele — to ludzie obciążeni takimiż jak ja urazami.

Oczywiście, w miarę upływu lat, w miarę coraz silniejszego angażowania się w pracę na odcinku mojej specjalności, urazy te malały, ale została ilość dostateczna, aby stały się uciążliwym kamyczkiem czy ziarenkiem żwiru, który dostał się do buta i uwiera. Nie było to tylko urazy, były i pewne przemileczenia z mojej strony, nie wszystkie fakty mnie dotyczące podawałem w oficjalnym życiorysie. Gdy nie podałem ich w pierwszych wojennych latach — coraz trudniej było mi potem do tego się przyznać, nie były to oczywiście rzeczy istotne, raczej drobniaki, ale mnie, w gruncie rzeczy uczciwemu człowiekowi, przykra była myśl, że w jakimś stopniu — poprzez przemilczanie — wprowadzam w błąd ludzi, z którymi pracuję. Toteż od dłuższego czasu nosiłem się z myślą, by zwrócić się do komórki partyjnej w mojej instytucji i szczerze porozmawiać o sobie. Hamulce były jednak silne i do żadnej rozmowy nie mogło jakoś dojść.

Opowiadanie „Katastrofa” wywarło na mnie silne wrażenie, może zresztą i dlatego — nie uwielając w niczym Sz. Autorce — że przeczytałem je w tzw. „momencie psychologicznym”. Faktem jest, że „Katastrofa” stała się tą przysłowiową kroplą, która skłoniła mnie do decyzji. Zapytałem jednego z członków egzekutywy, którego znałem z terenu innej pracy, czy zna to opowiadanie Grażyny Woysznis-Terlikowskiej, a gdy się okazało, że nie, zostawiłem mu numer pisma z prośbą o przeczytanie. Następnego dnia oddał mi „Świat”, wyrażając się pochlebnie o „Katastrofie”. Spytałem, czy jego zdaniem każda instancja partyjna winna tak wnikliwie i po ludzku rozstrzygać problemy dręczące wielu bezpartyjnych. Po otrzymaniu — oczywiście — twierdzącej odpowiedzi, powiedziałem: No to rozstrzygnijcie i moją sprawę, pomóżcie.

Dodam tu nawiasem, że mój rozmówca jest człowiekiem z awansu, podczas gdy ja jestem najtypowszym inteligentem i jeszcze raz inteligentem, toteż był moment, gdy pomyślałem sobie, czy on mnie w pełni rozumie, on, stary działacz rewolucyjny, który tego typu problemów nigdy przecież nie miał. Toteż byłem do głębi wzruszony sposobem, w jaki ten człowiek do mnie i do moich spraw podszedł, ile okazał zrozumienia, serca i najlepszej woli. Nie jedną mieliśmy rozmowę, ale kilka. Rozmowy te były takie, że nie mogę odżalować. że nie zdobyłem się na nie uprzednio. Mogę już innym i samemu sobie patrzeć prosto w oczy.

Jak już pisałem — myślę, że może i bez „Katastrofy” udałbym się wreszcie do partii — ale „Katastrofa” przyspieszyła to, może dlatego, że są w tym opowiadaniu trące takie strunki i takie nutki, które bardzo głęboko we mnie zadźwięczały.

Droga Pani, jest to pierwszy list w moim życiu, którego nie podpisuję nazwiskiem, tylko symbolicznym pseudonimem. Mam nadzieję, że nie obrazi się Pani o to, prawda? Czemu nie podpisuję — chyba jasne”.

„INŻYNIER RUDNICKI”

KTO MA RĘKOPISY DYGAŚIŃSKIEGO?

Zakład im. Ossolińskich pragnie wydać i w ten sposób udostępnić szerszemu ogółowi możliwie pełny zbiór korespondencji Adolfa Dygańskiego — zwraca się z usilną prośbą do całego społeczeństwa, zarówno do osób prywatnych jak i do instytucji (zwłaszcza bibliotek prowadzących działy rękopisów), o wszelkie wiadomości dotyczące posiadanych przez siebie lub osoby trzecie rękopisów listów pisarzy oraz o udostępnienie ich celem przedłożenia naukowo zweryfikowanych odpisów.

Informacje prosimy kierować pod adresem: Zakład im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław, Plac Solny 11.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wklesłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr. 178. Papier rotogr. V. 80-82 cm. — 5-B-13051 podpisano do druku dnia 31.III.54 r.

LENGREN



— Popatrz, co za szczęście, znalazłam swój pasek sprzed wojny.

SZACHY

PARTIA NR 103

grana w Moskwie 19 marca br. podczas meczu o mistrzostwo świata (II partia)

Obrona Nimcowicza

Białe: M. Botwinnik

Czarne: W. Smyslow

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. Sb1—c3 Gf8—b4 4. e2—e3.

Ulubiona kontynuacja Botwinnika przeciwko obronie Nimcowicza.

4... b7—b6 5. Sg1—e2 Gc8—a6

Posunięcie to zastosował Bronstein przeciwko Botwinnikowi w XVII partii meczu o mistrzostwo świata w 1951 r. Idea tego ruchu jest po d7—d5 wywnieść białopolowe gońce, co w powstałej konfiguracji pionów w centrum jest wygodne dla czarnych.

6. a2—a3 Gb4—e7 7. Se2—f4

We wspomnianych parti Botwinnik grał 7. Sg3 i po 7... d5 8. c:d5 G:f1 9. S:f1 e:d5 10. Sg3 Hd7 czarne uzyskały lepszą nieco grę.

7... d7—d5 8. c:d5 Ga6:f1.

W paru partiach zastosowana była ta pozycja ciekawa oflora figur: 9. d5:e6 Ga6

10. e6:f7+ Jednakże Keres wykazał, że po 10... K:f7 11. H:b3+ Ke8 12. Se6 Hd7 13. S:g7+ Kd8! czarne uzyskują przewagę. Botwinnik stosuje tu nowy plan, będący niewątpliwie wynikiem analizy domowej.

19. Ke1:f1 e6:d5 10. g2—g4?

Oto pointa gry białych. To dziwne z pozoru posunięcie związane z atakiem na pion d5 okazuje się bardzo słone. Powstała pozycja będzie niewątpliwie tematem dociekań teoretyków. W każdym bądź razie Smyslow nie potrafił podczas partii wykazać błędności planu białych — przeciwnie nawet — grając pasywnie, otrzymał szybko przegraną partię.

10... c7—c6.

Lepsze wydaje się tu 10... g5? 11. Sd3 h5 z dalszym Hd7. Sc6 i długa rozgródka.

11. g4—g5 Sf6—d7 12. h2—h4 Ge7—d6?

Należało grać 12... 0—0 i np. 13. e4 d:e4 14. Se4 Sc5! Po posunięciu w tekście białe uzyskują wygraną pozycję.

13. e3—e4!

Białe śmiało otwierają centrum, gdyż wprowadzają do gry w ten sposób ostatnią

swoją lekką figurę — góńca, a czarne figury przeszkadzają sobie wzajemnie.

13... d5:e4 14. Sc3:e4 Gd6:f4 15. Gc1:f4 0—0 16. h4—h5 Wf8—e8.

To posunięcie również okazuje się niedobre, ale czarne znajdują się już w krytycznej sytuacji i trudno znaleźć z niej jakieś wyjście.

17. Se4—d6 We8—e6 18. d4—d5! We6:d6

Smutna konieczność. Zarówno po 18... c:d5 19. H:d5 Sa6 20. S:f7! K:f7 21. g6+, jak i po 18... We7 19. h6 g6 20. Hd4 Hf8 21. Sc8 białe natychmiast wygrywały.

19. Gf4:d6 Hd8:g5 20. Hd1—f3 Hg5:d5 21. Hf3:d5 c6:d5

Czarne mają wprawdzie dwa pionki za jakość, ale ich pozycja jest w dalszym ciągu fatalna, co mistrz świata precyzyjnie wykorzystuje.

22. Wa1—c1! Sb8—a6 23. b2—b4 h7—h6 24. Wh1—h3 Kg8—h7 25. Wh3—d3 Sd7—f6 26. b4—b5 Sa6—c5 27. Gd6:c5 b6:c5 28. Wc1:c5 Wa8—b8 29. a3—a4 Wb8—b7 30. Wd3—c3 i czarne poddały się nie mogąc przeciwdziałać wtargnięciu białej wieży na siódmą linię.

UWAGA UCZESTNICZY KONKURSU „POPRAWIAMY ARCYMISTRZÓW”

Podajemy dziś listę nagród dla Czytelników, którzy biorą udział w konkursie naszego działu pt. „Poprawiamy arcy mistrzów” (patrz „Świat” Nr 12 z 21 marca br.):

- 1 — 3 — KOMPLETY SZACHÓW
- 4 — 10 — KSIĄŻKI SZACHOWE
- 11 — 30 — KSIĄŻKI BELETRYSTYCZNE

Przypominamy, że rozwiązania należy wysyłać w terminie do 30 kwietnia br. z dopiskiem na kopercie „Konkurs szachowy”.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 129

Fantazja krzyżówkowa: Sześciolatek Plan (piszczele, iskrzyk, lemieś, Matejko, ekrazyt, Rapacki, bateria, orytl, rosomak, arbirer, oczka, szczapa, eskorta, stragan, pospiechy, konduktor, obojnak, Janicki, pupilka, Anapa, niesz, ognisko, ogólnik, inicjał, wiorsta, Stolica, omnibus, kontakt, student, atrybut, Konotop, posłuch, oczeret, centrum, trasa, tańcyka, torpeda, purpura, surogat, Ekwardor, pianino, phuo, poliglota, Kaliope).

Zestawiamy w pary: Balladyna — Kirkor, Barbara — Zygmunt August, Baucis — Fielemon, Beatryce — Dante, Circe — Odysseusz, Corday — Marat, Desdemona — Otello, Estera — Kazimierz Wielki, Eunice — Petroniusz, Eurydyka — Orfeusz, Hamilton — Nelson, Hero — Leander, Ja-

gienka — Zbyszko, Judyta — Helofernes, Julia — Romeo, Marysielka — Solieski, Psyche — Eros, Pustowójtówna — Langiewicz, Rzepicha — Piast, Walewska — Napoleon).

Za dobre rozwiązanie zadań z n-ru 129 nagrody książkowe otrzymują:

- 1) H. Bardel — Jarosław, 2) L. Bielawski — Malczyce, 3) H. Grotenowa — Przemyśl, 4) J. Jakubielska — Kielce, 5) H. Jankowski — Niemodlin, 6) L. Jozsko — Radzionków, 7) A. Kajak — Bolimów, 8) K. Kowalik — Różnica, 9) K. Kozowa — Opole, 10) J. Krukowski — Zabrze, 11) J. Kulicki — Koszalin, 12) W. Mechnik — Zawiercie, 13) P. Michalski — Swinoujście, 14) B. Passowski — Warszawa, 15) Z. Pawłowska — Tarnów, 16) J. Piechota — Lublin, 17) Z. Piekut — Łódź, 18) S. Sawicki — Wrocław, 19) A. Sowińska — Bytom, 20) J. Stefanikowa — Zaklików.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 130

KRZYŻÓWKA. Poziomo: do, po, kafar, perla, obawa, Sue, AF, Zan, kolej, lew, pasat, Anapa, Krata, le, re, ir, en, na, la, Pionowo: Duńczyk, operacja, parabola, tomahawk, kalarepa, referat, Ryga, arena, Alina, om, ja.

Za dobre rozwiązanie zadania z n-ru 130 nagrody książkowe otrzymują:

- 1) E. Bajkowski — Pabianice, 2) A. Barańska — Łódź, 3) J. Brańkowski — Istebna, 4) M. Buller — Zielona Góra, 5) A. Mikotajewski — Dobrzyce, 6) Z. Felbur — Płońsk, 7) S. Grzechyński — Puszcza Mariańska, 8) W. Jurda — Zalesie, 9) St. Kuczewski — Bystrzyca, 10) W. Kulakowski — Orneta, 11) W. Lewicka — Kalisz, 12) M. Łuszczycy — Tarnów, 13) R. Mikliś — Gdynia, 14) J. Polak — Lubartów, 15) E. Rodziewicz — Pabianice, 16) J. Rózanek — Opalenica, 17) A. Sieniewicz — Suwałki, 18) A. Słowik — Sosnowiec, 19) H. Synoradzka — Toruń, 20) W. Zaborowicz — Bydgoszcz.

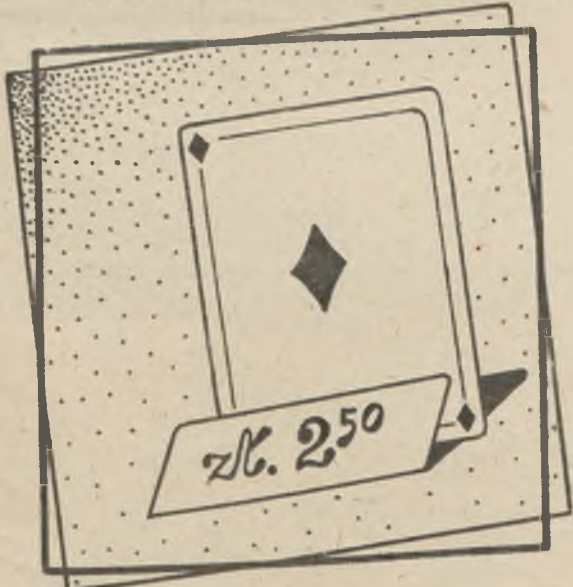
ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 137

MAGICZNA FIGURA: szarlatan, przepaska, kalamury, maskarada.

Za dobre rozwiązanie zadania z n-ru 131 nagrody książkowe otrzymują:

- 1) J. Jareńko — Wrocław, 2) F. Kroma — Tczew, 3) W. Kruczenok — Włodawa, 4) A. Kubica — Bielsko, 5) B. Lulpop — Włochy, 6) J. Łukasik — Chwałibogowice, 7) Z. Pleśński — Jedn. Wojsk., 8) W. Pollak — Oświęcim, 9) J. Powalkiewicz — Piaseczno, 10) J. Projecki — Warszawa, 11) W. Proniewski — Faleńca, 12) A. Rudziński — Włocławek, 13) J. Ryncarz — Jelenia Góra, 14) A. Sowińska — Kraków, 15) U. Szarff — Legionowo, 16) W. Szproch — Dąbrowa Górnicza, 17) W. Szymank — Bytom, 18) H. Wilk — Będzin, 19) F. Woźniak — Radom, 20) T. Zająkoff — Łódź.

FIGIELEK REBUSOWY



Z podanego rysunku odczytać ośmioliterowy wyraz.

A. Krawczyk — Łódź

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z do-

piskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

Z tygodnika „Zeit im Bild”, ukazującego się w NRD, otrzymaliśmy serwis fotograficzny nowych modeli wiosenno-letnich, z których (w dzisiejszym odcinku naszego działu) część zamieszczamy.

U góry: letni strój ogrodowy, który składa się z płóciennej kimonowej bluzeczki zdobionej aplikacjami kolorowymi — oraz spódnicy (także płóciennej) z dużymi, płytkimi kieszeniami.

U dołu (z lewej) sukienka letnia wełniana w kolorze szarym, do której można nosić jedwabny żakiecik (dopasowany) w kolorze zielonym.

Także u dołu (po prawej) sportowy kostium wiosenny o modnych liniach. Kostium uszyty jest z samodziálu.



TANIO i ŁADNIE

MODELE WIOSENNE NRD



FILATELISTYKA

WIDOKI Z LENINGRADU

W końcu ubiegłego roku ukazała się w Związku Radzieckim seria znaczków ilustrująca zabytki Leningradu: 40 kop szary na złotym

papierze — pomnik Lenina, 40 kop brązowy na złotym pap. — budynek Admiralicji; 1 rub zielony na różowym pap. — widok na Instytut Smolny; 1 rub szary na nie-

bieskim pap. — plac Dekabrystów.

Znaczki zostały wykonane techniką rotograwiurów, w formacie 31 x 42 i 58 x 28 mm, ząbkowanie 12¹/₄. Z. R.





Rys. J. Żebrowski
Ludwik Solski w drodze do teatru.
„STYL LUDWIKOWSKI”



Rys. J. Żebrowski
— Pana ministra zabolala głowa?...
Skoczę do apteki — dobrze?...



Rys. J. Żebrowski
Solski i Fertner na Plantach krakowskich
„STARY KRAKÓW”

— Jak ci się podoba to brakoróbstwo!
wg pomysłu Moniki Gutman
rys. Charlie



PIZA



— I to pan uważa za dobry dowcip?!



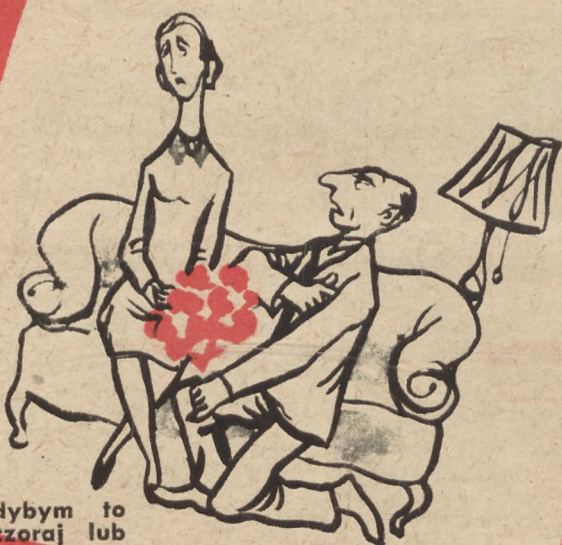
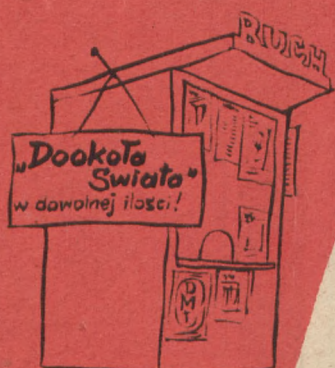
— Pan stoi mi na nodze!!!
— Ha, ha, wiem, wiem! Prima Aprilis!...



— Nie wierzę!



— No, chodźże, piesku!



— Ach, gdybym to słyszała wczoraj lub jutro...

Rys. S. Kobyliński



— Czy damy dziś specjalne audycje?
— Ee, normalne wystarczy!...

Rwielnica



W Indiach wczoraj — i dziś



Zaklinacze



BAR



BAR